PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austryi: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt." dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT" Kraków, ulica Bonerowska № 12.
CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronice poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30 Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadesłane kop. 75. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: WARSZAWA, Zgoda № 1.
Telefony: Redakcyi 80-75, redaktora 68-75, Administracyi 73-22.
FILIE ADMINISTRACYI: Sienna № 2 tel. 114-30.
ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81.

Za odnoszenie do domu dopłaca się 10 kop. kwart.

ŚWIAT

Rok VIII. № 19 z dnia 10 Maja 1913 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Redaktor: Stefan Krzywoszewski.
Warszawa, ulica Zgoda № 1, róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.

Hiszpańskie i albańskie wąwozy.

Cała *praktyka* życiowa, cała wszechludzka walka o byt, opiera się na sprzeczności interesów tych, którzy coś mają i nie chcieliby się z tem rozstać, oraz tych, którzy chcieliby posiąść to, co inni mają. Z tej fundamentalnej sprzeczności nietylko wyszły dotychczasowe dzieje ludzkości, ale wyszły, wychodzą i wychodzić będą wszystkie — jakże rozmaicie nazywane! — „odcienia partyjne".

Co zaś do *teoryi* życiowej, co do fundamentu wszelkich od początku świata „systemów" filozofii praktycznej, to niema wyspekulowanych „zasad" oraz paradoksalnych sofizmatów, któreby źródła swego nie miały w sprzeczności między: doktrynerstwem a oportunizmem. Doktryner, *vel* ideolog, powiada: rządzić powinny człowiekiem i światem niezłomne, nie znające „względności", nie ustępujące wobec niczego — zasady. Oportunista powiada: tak, niewątpliwie, mocne i ścisłe zasady są niezbędne, ale dlatego, aby je wcielić w życie, trzeba je — czasem! — przystosować do realnych warunków, do okoliczności, do faktów dokonanych, trzeba dochodzić do celu drogą kompromisu, gdy nie można przebojem; lepszy wróbel w ręku, niż sokół na sęku; a co do nieprzejednanego stosowania zawsze i wszędzie granitowej doktryny, to rzymianie już przecie wołali: *Summum jus—suprema injuria!* czyli, że najwyszukańsze stosowanie litery prawa może dać w rezultacie najdoskonalszą... niesprawiedliwość.

Wszystka, jak świat szeroki i długi, t. zw. opinia publiczna rozpada się faktycznie na dwa obozy: doktrynerów i oportunistów. Z tych też obu, wręcz sobie przeciwnych punktów widzenia sądzone są wszystkie sprawy i wydarzenia na ziemskim padole.

Generał York, opuszczający chorągwie Napoleońskie, łamiący parol żołnierski, — bohater! Bo, zdradzając Napoleona, wielką oddał usługę ojczyźnie swojej, Prusom. Nasz książę Józef, nieugięty wobec zaklinań, aby nie wytaczał dalej krwi polskiej w obronie Napoleońskiej sprawy, najwidoczniej przegranej, — bohater! Bo przy idei legionów wytrwał *usque ad finem,* a ponad wszystko cenił dochowanie wierności zarówno doktrynie, jak zasadzie.

Oto sto już lat z okładem „jaśnieje" na kartach dziejów naszych „wiekopomna" szarża pod Somo-Sierrą ułanów Kozietulskiego i Łubieńskiego. Inaczej się o niej nie mówi i nie pisze, jak, że sławą okryła imię Polski oraz polaków do siódmego, a, kto wie, czy nie do dalszego jeszcze pokolenia. Szarżę tę opiewano, odtwarzano panoramicznie, wizerunki jej wieszano nad łóżkami dzieci obok portretów Kościuszki i Mickiewicza. Poczytywano by za *crimen lesae patriae,* jeśliby kto zawołał: Opamiętajcie się, rodacy! A toć że to przecie ułani Kozietulskiego i Łubieńskiego, polscy, nasi ułani, masakrowali bez miłosierdzia hiszpanów, broniących własnej ojczyzny, umierających — a z jakiem męstwem! — za wolność i niepodległość Hiszpanii! Toć-że przecie za takie poczynanie sobie chyba hańba i srom padają na „smutnych bohaterów", nie zaś

splendor i sława nieśmiertelna! Niechby jaki szwadron innych jakich ułanów poszarżował tak nas, polaków, trzebiąc w żywem ludzkiem mięsie drogę do... Krakowa dla jakiego najezdcy, nie posiadającego Napoleońskiego uroku!... My pierwsi piętnowalibyśmy najhaniebniejszemi wyzwiskami takie „bohaterstwo", my, co nie możemy dość narwać wawrzynów i kwiatów dla krwawych junaków, którzy pod Madrytem tratowali wolność niepodległej Hiszpanii.

Uspokójmy się. Nikt nam tego nie powie. Przedewszystkiem dlatego, aby nie „obdzierać" własnych dziejów z blasku i chwały. Jakby dzieje nasze tak były w blask ubogie, że aż je złocić trzeba błyskami — liczmanów!

Ale poco sięgać pamięcią w zamglone stuletniem oddaleniem hiszpańskie wąwozy! Dziś, w chwili, gdy ta kropla atramentu spływa na papier, stoimy wobec faktu, wywołującego wśród społeczeństwa polskiego nastrój, co go nazwać śmiało — paradoksalnym, a mający — i on też — źródło w nieśmiertelnem przeciwieństwie oportunizmu i t. zw. ideologii.

W rozterce nasza, polska, opinia publiczna. W rozterce między t. zw. austryacką oryentacyą polityki polskiej narodowej (mającej od wielu już lat większość polską za sobą) a instynktownem odczuwaniem, że z rolą, którą w chwili obecnej gra Austrya na półwyspie Bałkańskim, jednak — westchnąwszy! — solidaryzować się niema sposobu.

Juści, że nasze sympatye lub antypatye nie ziębią Austryi, ani też grzeją; atoli *stanowisko,* które my wobec akcyi austryackiej zajmujemy, urabia „duszę polską". Albo utrzymuje ją w nieskazitelnej szlachetności, albo—deprawuje ją.

Musimy przeto zająć wobec niewątpliwie „historycznej" doniosłości faktów, których widownią jest półwysep Bałkański, wyraźne i niezłomne stanowisko.

Jakie?

Jedno z dwojga: albo doktrynerskie, albo oportunistyczne. *Tertium non datur.*

Przedewszystkiem tedy, jeżeli uznamy za rządzącą światem i powołaną do rządzenia nim zasadę, iż fundamentem wszelkiego prawa jest siła, iż miecz, *respective* siła, ustanawia wszelkie na świecie Bożym prawo własności, natenczas możemy przyglądać się akcyi austryackiej — spokojnie i z filozoficzną wyrozumiałością.

Albowiem, cóż się stało i dzieje? Oto skonfederowane bałkańskie państewka, uderzywszy społem na Turcyę, pobiły ją na głowę i zagarnęły całe dzielnice państwa ottomanów. Zbyt jednak daleko idące sukcesy nie leżały w interesie państwa, będącego silniejszem, niż razem wzięte Bułgarya, Serbia, Grecya i Czarnogórze. I oto Austrya, uzbroiwszy się od stóp do czuba i zagroziwszy Europie rozpętaniem wojny „europejskiej", wymogła utworzenie niepodległej Albanii, której nawet chciała ofiarować odebrany od czarnogórców Skodar. Innemi słowy: Turcyi podyktował prawa silniejszy od niej związek bałkański, a związkowi dyktuje prawa silniejsza od niego Austrya. I jeżeliby z kolei podniósł głos ktoś, od Austryi silniejszy, i jął je rozkazy swe narzucać... natenczas stałoby się tylko zadość *zasadzie,* sformułowanej przez Lafontaine'a: *La raison du plus fort est toujours la meilleure.*

Mały kraj i słaby naród nie mają prawa nie słuchać wielkich i silnych państw—i basta! Dlaczego? Ponieważ słabe są i małe. Czyliż potrzebna lepsza racya!

A jednak: nie! My, polacy, zwłaszcza my, polacy, nie powinniśmy patrzeć na to, co się dzieje pod Bałkanami, spokojnie i z filozoficzną wyrozumiałością. Powinniśmy odróżnić lojalny pojedynek (np. między Turcyą a Czarnogórzem) od podniesienia ręki na liliputi kraik przez potężną Austryę.

Wszak gdy na ulicy zamachnie się jaki drab na malca-wyrostka, przechodzeń pierwszy-lepszy ma prawo albo go pohamować, albo ostro odezwać się o tego rodzaju odruchu...

Ale gdy niesprawiedliwość i gwałt mają stać się na widowni... polityki, na arenie międzynarodowej, zjeżonej bagnetami, a — to co innego! Godzi się (!) przepolitykować nawet najświętsze zasady i idee, które się wynosiło pod niebiosa — w teoryi.

A my-ż sami? Pławimy się w oportunizmie, coprawda, platonicznym, ale, jak się rzekło, w dostatecznej mierze zatruwającym— własnego naszego ducha.

Czyż powinno tak być? My, polacy, osobliwie my, polacy, musimy hołdować bezwzględnej uczciwości nietylko w życiu prywatnem, ale i publicznem i politycznem. W imię przeszłości i teraźniejszości naszej. Musimy stać— moralnie, duszą całą — po stronie sprawiedliwości, słuszności i szlachetności. Zawsze i wszędzie.

Choćby trzeba było wycofać zachwyty nasze z wąwozów hiszpańskich i rozstać się z Austryą u progu zabałkańskiej Somo-Sierry.

Czesław Jankowski.



W te nasze, polskie, szare dni..

W te nasze, polskie, szare dni,
gdy pachnie wiosna gdzieś daleka,
gdy nic nie woła, nic nie czeka,
zmęczonej duszy coś się śni...

Nad rozlewiskiem mętnem rzek,
które, spienione, groźnie płyną
w oddal północy mroczno-siną,
włoskiego morza śni się brzeg...

Pod ołowianem wiekiem chmur,
nad mazowieckim gdzieś ugorem,
w sercu, tęsknotą polską chorem,
majaczą stoki włoskich gór...

Wśród szarych murów szarych miast,
gdzie ludzie żywot szary pędzą,
nad spraw codziennych naszych nędzą
śnią się orszaki świetnych gwiazd...

W kraju, gdzie krzyż podpiera krzyż,
gdzie każdą radość cień ćmi troski,
śnisz się, promienny kraju włoski,
Italio, duszy mej się śnisz!

Józef Relidzyński.

Wystawa wiosenna w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

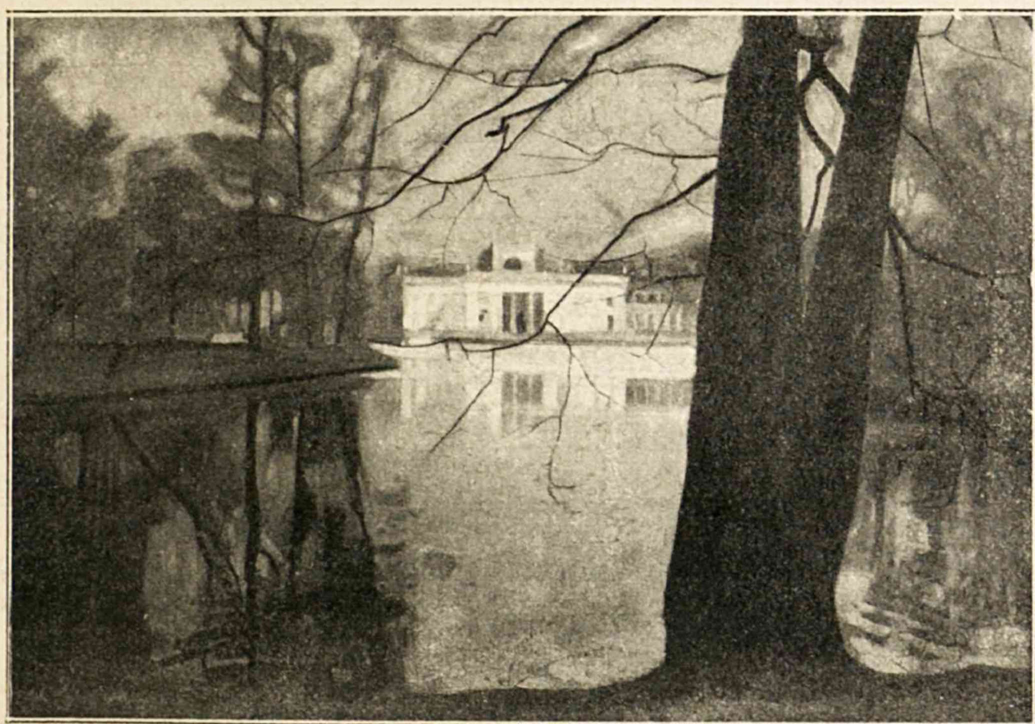
Wystawa wiosenna urządzona przy Tow. Zachęty, jest pewnego rodzaju nowością, ogranicza się bowiem prawie wyłącznie do artystów warszawskich. Zebrano około 350 okazów, wśród których kilka młodych talentów wybija się odrazu na pierwszy plan. Z całością, rozmieszczoną we wszystkich salach gmachu Zachęty, łączy się zbiorowa wystawa Teodora Ziomka, którego kilkadziesiąt krajobrazów zajmuje jeden specyalny salon.



Zdzisław Jasiński. Anioł.



Ludwik Lewandowski. Siostry.



Podgórski. Łazienki.



Józef Ryszkiewicz *(junior)*. Na pastwisku.



M. Kalinowska-Koźniewska. Portret p. Cz.



Teodor Ziomek. Roztopy wiosenne.

Słowacki nad oceanem.

Ze wzruszeniem przeglądam karty albumu, nabytego szczęśliwie w jednym z antykwaryatów paryskich. Format albumu podłużny; ryciny litografowane; data wyjścia niewymieniona, lecz do odgadnięcia łatwa; tytuł: *„Pornic et ses environs; dessinés d'après nature et lithographiés par Henry Chouppe"*.

Któż nie wie, że w Porniku, „małej mieścinie nad Atlantykiem", dwukrotnie: w roku 1843 i 1844, bawił Słowacki? Szukał on tu w kąpielach morskich pokrzepienia fizycznego, a w zbliżeniu się do natury spokoju ducha. Znalazł jedno i drugie, i znalazł więcej jeszcze, bo wysoki, może najwyższy geniuszu swego rozkwit.

Wiktor Hugo, Bajron, Gete są to wielcy, może nawet genialni poeci. Wyższej nazwy nikt im nie nada, bo ona by do nich nie przystawała. Inaczej z Mickiewiczem, Słowackim, Krasińskim. Mówić o nich „poeci"— zamało; mówić „geniusze" — nieściśle. *„Vox populi"* z przedziwną intuicyą dał im miano „wieszczów". Ta nazwa utrzymała się i utrzyma. Tak, to są wieszcze, prorocy — prawie święci.

Wszystko, czego się człowiek święty dotknie, każde miejsce, na którem stopę postawi, staje się przez to do pewnego stopnia uświęcone. Rozumie się, że to uświęcenie uznają tylko wtajemniczeni i wierzący. Dla francuza, anglika i innych cudzoziemców Pornik jest i nazawsze zostanie zwykłem miejscem kąpielowem; polak nigdy obojętnie do tego miejsca nie zbliży się, nigdy go zimnym wzrokiem „turysty" nie obejmie.

Dość ciężka ręka karty albumu zarysowała, ale one są dla nas drogie, ukazują bowiem Pornik w okresie mało późniejszym od tego, gdy Juliusz tam gościł.

Więc oto widzimy na pierwszej karcie *Hôtel de France,* jedyny w Porniku dom zajezdny, a więc ten, w którym przemieszkiwał Słowacki w jednym czasie z księstwem Czartoryskimi. Oto widok miasteczka od strony gościńca, idącego z Nantes. Oto znów smutna, uboga przystań z ponurą ruiną średniowiecznego zamczyska i widokiem na dale oceanowe. Dalej mamy miasteczko od strony morza, na nagich, falami otłukiwanych skałach, dwa miejsca kąpieli: jedno z kabinami, drugie bez nich (w ostatniem, zapewne, kąpał się poeta). *Casino* i miejsce publicznej przechadzki, zatajone wśród ciemnych, gdzieniegdzie tylko zazielenionych złomów skalnych; piękny, choć, jak wszystko tu, dziki widok kościołka w pobliżu miasta, nad Oceanem— wreszcie najciekawszy może dla nas monument druidyczny, na którego szczycie Juliusz często przesiadywał, wpatrzony w zachody słońca, we wschody księżyca, w nieskończoność Oceanu, lub w głębszą odeń własnej duszy otchłań.

Bezpośrednio przed przybyciem doPorniku, Słowacki żył w męczącej, duchowej rozterce. Towianizm to pociągał go, to odpychał. Przyjąwszy jego zasadniczą ideę, a raczej siebie w tej idei odnalazłszy, do ludzi, wyobrażających jakby urzędowy tej idei kościołek, nabrał podejrzliwości i niechęci. Duch, przebywający nieustannie w sferach najwyższych, wyczerpał mu nerwy i sprawności cielesnej pozbawił. Chudł, kasłał, miewał halucynacye, a silnie już rozwinięte suchoty wyczerpywały go ciagłą gorączką.

Zbawczy instynkt powiódł go nad morze.

W listach stamtąd nie ma dość słów na odmalowanie zachwytu, jaki w nim wzbudził sam widok Oceanu.

„Między tem morzem a mną jest tajemniczy jakiś związek, sympatya, i ta musi być prawdziwa, albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku..."

Zachwyca go tu wszystko: zielonawa barwa Oceanu, jego brzegi szare, skaliste, chwastami okryte, to jest takie, jakie widział w wyobraźni, czytając powieści Waltera Skota — nawet swoisty zapach wody oceanowej. Przyroda tutejsza, choć obca, jest mu przecie znajoma, bo „widział ją kiedyś przeczuciem, pragnął sercem". Weseli się, jak student na wakacyach, albo jak ptaszek, wypuszczony z klatki. Przygląda się z rozrzewnieniem motylkom, latającym między chwastami, pliszkom, które siadają na kamieniach nadbrzeżnych — w jednych i drugich widzi stare znajomości z lat dziecinnych. Nie może dość nachwalić przyrody, która, ciepła, wonna, otoczyła go skrzydłami, zapraszając do odpoczynku, wyrzucając, że się zbyt długo gorączkowym myślom oddawał, a o niej zapomniał...

To są pierwsze, kojące wrażenia; reakcya bardziej nerwów, niż ducha. Potem przyjdą głębokie rozmyślania i górne wzloty. Ocean nietylko do jego zmysłów przemawiać zacznie: poeta dojrzy w nim myśl bożą, potężną i znajdzie w niej rozwiązanie całej zagadki istnienia.

Poeci, zwłaszcza typu „poćciwego" pana Reja z Nagłowic, to jest nie wychylający się poza kopce graniczne swej wsi i swego kraju, chowający się, „jak na dziedzińcu zając", ulegają w wysokim stopniu jednostronnym wpływom swej ojczystej przyrody, swego rodzinnego klimatu. Stąd wynika, że poeci polscy, przed Słowackim prawie wszyscy (z wyjątkiem Mickiewicza, jako twórcy sonetów krymskich) — tak mało zajmują się morzem, tak o niem nic prawie zgoła nie wiedzą. Rzeczpospolita etnograficznie i politycznie istniała wprawdzie „od morza do morza", te morza jednak znajdowały się na jej najdalszych krańcach i rzadko bywały przez mieszkających w środku kraju oglądane.

Poezya polska przedromantyczna jest, jak cały kraj, cicha, sielankowa, na kłosistych i lesistych płaszczyznach rozpostarła, a jeśli huczą w niej niekiedy gromy, to jeno burzą wojenną sprowadzone.

Lwi ryk Oceanu odzywa się dopiero w poezyi Słowackiego. Rozszerza to królestwo Muzy polskiej i przewiewa je tchnieniem nieskończoności.

W Porniku dopełniły się mistyczne śluby dwuch potęg równomiernych: geniuszu polskiego wieszcza i Oceanu. Doskonale one do siebie przystawały; dusza poety i otchłań wodna rozmawiały ze sobą, jak oblubieniec z oblubienicą.

Z tych ślubów narodziły się ostatnie, najbardziej uduchowione dzieła Juliusza. I w „Listach", i „Raptularzu" i w samych dziełach znajdują się na to dowody.

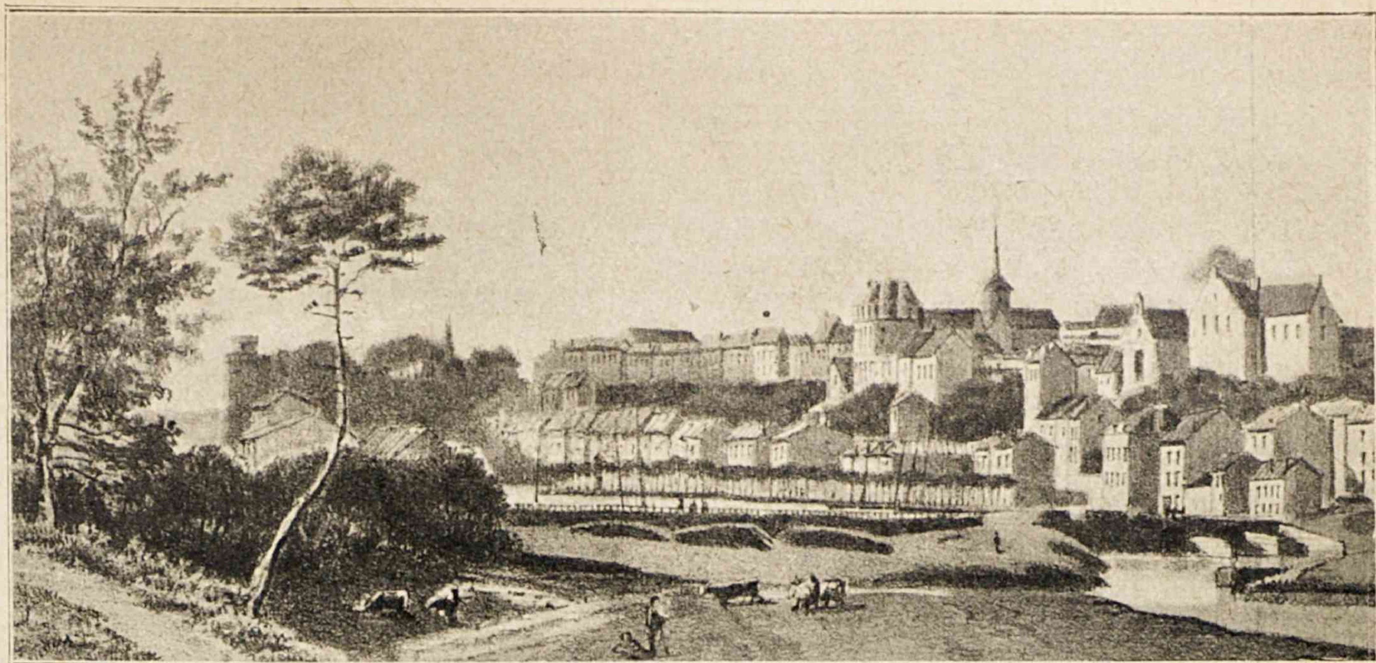
W liście do matki z dnia 2 października 1843 roku pisze Słowacki o pobycie w Porniku: „Wyszedłem na brzegi. Tam skały, osypane srebrną i złotą miką, paliły się na słońcu, niby tarcze ogromne, albo trony Oceanid..." Ten sam obraz, lecz wykończony i myślą bogaty, znajdziemy we wstępie do „Genezis z ducha": „Tu, gdzie za plecami mojemi palą się złote i srebrne skały, nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzymie, przyśnione oczom Homera... pozwól mi, Boże, itd... Trzymając się tej wskazówki, bez trudności już wskazać możemy miejsce, o którem mówi poeta: „Na skałach oceanowych postawiłeś mnie, Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego..."

Można powiedzieć, że gmach, w ciągu długich lat przez poetę budowany, w Porniku został ukończony i wspaniałą kopułą, wszystkie linie harmonijnie skupiającą, nakryty.

Na wiele lat przedtem, zanim pozytywizm wprowadził do filozofii nauki przyrodnicze i, owszem, oparł ją na nich, Słowacki to uczynił, i poszedł dalej jeszcze, bo w ewolucyi form roślinnych i zwierzęcych dojrzał stopniowe kształtowanie się i doskonalenie ducha, „który jest wszystkiem i z którego wszystko".

W urywkach „Raptularza", gdzie poeta zapisywał na gorąco wyniki swych studyów, wymieniony jest Pornik. I w istocie, tam tylko, nie gdzieindziej, mógł on je odbywać. Jakież inne z miejsc, które poza Paryżem nawiedzał, mogło mu było zapewnić tyle spokoju i dostarczyć tyle materyału, co Pornik? Tu on przeszedł jakby najwyższy kurs akademii, wydającej patenty na „doktorów anielskich".

Tu również — wyznać trzeba — wpadał w mistycyzm, graniczący z gusłami... Cóż bowiem, między innemi, wyczytujemy w „Raptularzu"?



Pornic, widziany od strony Nantes.

...„Dziś, odwiedzając druidyczne świątynie, znalazłem przed głazami różę, świeżo zerwaną. Kto ją porzucił? Zdawała mi się duchów ofiarą. Po dwakroć rzucałem ją do wnętrza grot, chcąc, aby, jak lampa, świeciła w ciemności — ale zawsze zapadała tak między kamienie, żem ją wydobywać musiał. W tem być musi jakaś tajemnica i nauka duchów, ale jej odgadnąć nie mogę“.

Widać, stąd, jak bardzo duch jego stawał się podobny płomieniowi, który to wysoko słupem prostym wystrzela ku niebu, to znów łamie się w połowie, liże ziemię i podstawę własną trawi. I to również widać, że duch ludzki, choćby najpotężniejszy, dopóki w ciele mieszka, czystym, bożym duchem być nie potrafi. Zawsze się doń jakaś słabość, wręcz mówiąc: naiwność przyplącze. A to duchom głupim, lecz które ilością i bezczelnością są na swój sposób silne, pozwala tamtym duchom urągać.

Jakże inaczej dałyby się zrozumieć i wytłómaczyć wielkie sprzeczności, w owym czasie w duchu poety zachodzące? Wieszcz, jasnowidz, mędrzec, docierający myślą do samego rdzenia wiekuistej zagadki bytu, bywa chwilami naiwny, jak dziecko, zabobonny, jak stara dewotka...

W Porniku Słowacki zdobywa samowiedzę swego stanowiska i posłannictwa. Rozumie, że należy do najwyższych w narodzie duchów, do świętego hufca, który wiedzie Polskę przed innemi narodami w przyszłość, a do którego, prócz Juliusza, należą: Mickiewicz, Krasiński, Bukaty, Królikowski, Towiański, Libelt. „Ostatni — zapisuje w raptularzu Słowacki — nie tworzyciel, ale już pracownik“. Dla innych współczesnych poetów i myślicieli pobłażliwe ma lekceważenie. „Po to są—mówi— aby bawili doczeźnie naród, sami się bawiąc bawieniem narodu. Szacowne bardzo istoty, lecz na teraz wcale nie potrzebne“. Cisi, pokorni, w kwiateczkach rozkochani, nie czują, jak ptaszyny, że nad głowami narodu tworzy się i zawichrza burza, piorunami ciężarna...

Tenże sam narodu wódz zapisuje w dzienniku sny — niby emeryt-grafoman, innego nie mający zajęcia. Niekiedy te sny, jako rojenia wielkiego artysty, bywają artystycznie piękne; niekiedy wszakże poeta to tylko ma o nich do powiedzenia: „Sen o jakimś umarłym i o pakietach dyliżansowych“.

W tym czasie nabrał Słowacki odrębnego na rzeczy ziemskie spojrzenia. Albo je widział w nadzwyczajnem zdrobnieniu, niby jakiś duchowy Guliwer robótki liliputów, lub też prześwietlał je i uduchowiał promieńmi własnego ducha. Stąd powstały dwa, w Porniku napisane a dziwnie piękne, eteryczne wiersze „Do pastereczki, siedzącej na druidów kamieniach w Pornic nad Oceanem“. Jeden z tych wierszy jest akwarelą czy miniaturą, ze starego, pergaminowego rękopisu wyjętą, błękitem i złotem wymalowaną, a tak lekką, jak pył kwiatów, lub motylego skrzydełka...

> Jak ty mi jesteś wdzięczna,
> Duszeczko moja mała,
> Słoneczna i miesięczna,
> Prawie bez krwi i ciała!...

Dla poety, nie oderwanego jeszcze ze wszystkiem od ziemi, lecz już na nią z wysoka patrzącego, ta pasterka jest „zarazem chłopeczką i Dyaną, zjawieniem i obrazem, kochanką i dziecięciem, smutkiem i wniebowzięciem“.

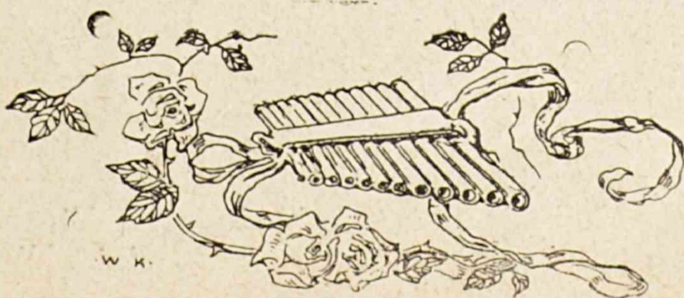
W wierszu drugim ujawniła się ówczesna wiara poety w metompsychozę, a właściwie w nieśmiertelność duszy, która, nie mając kresu, nie może też mieć i początku.

W prostej dzieweczce, pasącej krowy czy kozy, dopatrzył się Słowacki królewskości, pochodzenia w prostej linii od Normy i Adalgizy. „Są w pastuszkach — pisze o tem do pani Bobrowej — dumne i piękne dusze, które raz może spotykają człowieka, z którym się rozmówić mogą, a widząc go, przychodzą śmiało, z prostotą gołębi, siadają przy śpiącym, czekając, aż oczy otworzy. Mówią do niego, jakby go brały na świadectwo, że wiedzą, czem są, i odchodzą spełnić swój żywot biedny i pracowity“. W wierszu przemawia:

> Boże, błogosław tej małej pasterce...
> Albowiem w dziecku tem słychać królowę
> Ducha, która tu w nieszczęściu upadła
> I na ścierniskú położyła głowę.

Wiele zawdzięczał Słowacki pobytowi w Porniku. I dlatego każde oczy polskie z zajęciem spoczną na widokach tej małej, cichej a jednak pięknej i ducha pełnej miejscowości.

Wiktor Gomulicki.



Aforyzmy Tomasza Zana.

Legendowa prawie postać Tomasza Zana zawsze żyć będzie w naszej literaturze, a poniekąd i w historyi, oblana światłem poezyi i urokiem pewnej tajemniczości. Człowiek cichy, spokojny, stojący przez całe życie na bardzo skromnym posterunku, niczem nie okazujący jakichś wybitnych zdolności, mistyk, romantyk, poddający się z pokorą losowi, niezdatny do walki i czynu— miał za młodu Zan kilka chwil szczęśliwych, którym zawdzięcza (można to powiedzieć bez obawy o przesadę) przejście do nieśmiertelności.

Tak jest! Póki brzmieć będzie mowa nasza i cześć dla naszej przeszłości, z szacunkiem i wdzięcznością wspominać będą potomni postać Arcypromienistego. Nie zrozumieją może tego nadzwyczajnego wpływu, jaki wywierał na umysły młodzieży, — przy skąpym materyale faktycznym pozbawieni będą możności dokładnego zdania sobie sprawy, w czem leżała potęga „pierwszego żołnierza tej epoki“, — ale będą musieli liczyć się z tą nazwą, przyznaną Zanowi przez współczesnych. I ze wzruszeniem będą odczytywali napis, opiewający, że tu spoczywa: „miły Bogu i ludziom Tomasz Zan, którego pamiątka jest w błogosławieństwie u kształconych przyjaciół i ludzi dobrych, prowadząc ich ku pocieszycielem.

A gdyby nawet nie było Filomatów i Filaretów, tobyśmy musieli pamiętać, że „miły Bogu i ludziom“, był miły i Mickiewiczowi, że ustaloną jest opinia o wpływie Zana na umysł i twórczość największego mistrza naszej literatury, a nawet na cały kierunek romantyczny poezyi naszej. Z nazwiskiem Zana wreszcie nieodłącznie wiązać się będzie imię Maryli. Wszak to on zawiózł Mickiewicza do Wereszczaków, on od pierwszej chwili był świadkiem łez i uniesień Adama, zamierzanych buntów i rozpaczliwego poddania się konieczności, on został do końca jego powiernikiem, doradcą i pocieszycielem.

Dlatego też sądzę, że podane po-

niżej aforyzmy Zana rzucą drobny promyczek światła na tę, postać zamgloną przez niedostateczność źródeł, a przecie urosłą w kształty olbrzymie, fantastyczne. Niema w nich nic wybitnego, zaledwie parę z nich nosi na sobie cechę oryginalności — ale wszystkie razem przedstawiają nam obraz duszy wysoce chrześciańskiej. Wydaje się, że to przemawia jakiś apostoł, jakiś ojciec Kościoła, a nie człowiek, zostający na skromnem stanowisku lustratora górniczego. I prawdopodobnie w tym właśnie głębokim chrystyanizmie czerpał Zan swą siłę i wpływ na otoczenie, nim jednał dla siebie cześć ogólną, która, jak to wiemy dobrze, do końca życia mu towarzyszyła.

Aforyzmy zostały znalezione w papierach rodziny Świętorzeckich, a więc rodziny żony Zana, Brygidy Świętorzeckiej. Są one spisane ręką kobiecą na dwóch arkusikach papieru listowego. Każdy arkusik opatrzony jest osobnym tytułem. Zdaje się, że te zdania poczęści wyjęte zostały z listów Zana, bo w ogłoszonej jego korespondencyi spotykamy sporo podobnych aforyzmów, a poczęści spisane były po jego śmierci przez osobę, mającą sposobność ciągłego z nim obcowania i dlatego dobrze pamiętającą wygłaszane przez niego maksymy.

K. Bartoszewicz.

Niezapomnianej pamięci, najszlachetniejszego i najzacniejszego z ludzi— Tomasza Zana—niektóre zdania i myśli.

„Nigdy nie sądzić nikogo — Pan Bóg sam jedynie jest znawcą serc ludzkich. — Sądząc, przywłaszczamy sobie urząd Sędziego, Boga".

„Kiedy nam zdaje się, że ktokolwiek względem nas jest winnym, to my względem niego jeszcze doskonalszymi, lepszymi starać się być powinniśmy".

„Nieprzyjaciele nasi oddają nam daleko większe usługi, aniżeli ci, co nas kochają, bo wykazują błędy nasze, wykroczenia i ułomności, których nie postrzegają osoby, nas kochające".

„Starać się zawsze nie opuszczać ani najdrobniejszej rzeczy dobrej, którą zrobić możemy, albo powinniśmy — są zdarzenia, na które jedyna tylko jest pora, która drugi raz nie wróci — i z której korzystać powinniśmy".

„Bydz (bądź?) codzień gotową znieść choćby chwilę zasmucenia — utęsknienia — pracy — nudy — mozołu. Będzie to pożyteczniej, jak wielkie i głośne rzeczy wykonywać — jak zdobywać sławę — oklaski. Nad wszystko to droższe jedno poświęcenie się. Przez nie poświęcamy siebie i drugich. Drugim dajemy przykład, zachętę".

„Powinniśmy starać się ukochać to (tych), co się nam najbardziej nie podoba.—A wtenczas odkryjemy najrzadsze, najkosztowniejsze przymioty w tych, którzy się nam nie podobali".

„Każdy, z kim los zdarza nam sie spotkać, ma cząstkę naszego szczęścia— jak i my także nawzajem mamy cząstkę jego szczęśliwości. — Tę obowiązani jesteśmy oddać mu, — a odebrać swoję.— Zatrzymana — nam samym ujmą i stratą będzie".

„Pieniądz dany nie jest wsparciem, pieniądz nie łączy nikogo — prędzej odpycha tego, komu owy dajem".

„Czego nie oddamy dobremu duchowi, np. Kościołowi, czy bliźniemu, czy krewnym, czy rodzicom, czy dzieciom, to zmuszeni będziemy oddać złemu — np. nieprzyjacielowi, złodziejowi, asesorowi etc. Ujmowanie czy skąpienie nie przynosi korzyści".

„Niema potrzeby samym szukać daleko wielkich rzeczy. — Miejmy tylko w sobie doskonałości, przymioty, weźmijmy w siebie, co tylko najlepszego, a przyjdzie do nas cały Paryż (naturalnie, pod tym wyrazem chciał powiedzieć, że szukać nas będzie świat cały)".

„Gdzie trudność jaka, tam skarb właśnie".

„Antypatya — wyrażenie i uczucie niechrześciańskie".

„Miłości wyłącznej strzeżcie się, bo ta pochodzi—jeżeli nie od złego, to przynajmniej od jakiegoś nieczystego ducha".

„Pielęgnować i krzewić wszystkie dobre uczucia, a starać się udalać i tępić wrażenia przykre niemiłych pamiątek, lub trwogi o przyszłość".

„Nie ten, kto ofiaruje, ale kto przyjmuje, robi łaskę".

Gdy pewnego razu kochany pan Tomasz, jak to się często zdarzało, był nalegany od jednej z licznych przyjaciółek i wielbicielek, aby powiedział „jaka jest droga na tym świecie do raju?" — wziął przeto pióro i zapisał jej własną ręką następne słowa:

„Pozwólcie każdemu, ktokolwiek jest z wami, czynić to, co się jemu podoba; a nie pozwalajcie sobie czynić tego, co się drugim nie podoba, tylko to czyniąc, co im miło".

„Kto nie kocha choćby jednego człowieka na świecie, nie ma w sobie prawdziwej miłości".

„Nie odrażać się, chociaż czasem wydaje się nam rzecz jaka przykra, niemiła do spełnienia — bo prawie zawsze tam dla nas ukrywa się skarb jakiś, — a przeciwnie, gdzie pozór przyjemności — szczęścia — to, jak błyszcząca blaszka, co nas zwodzi, — a która, jak spełznie, jak się zetrze, tak widzimy, że to pustka i nic więcej".

Powieść o jawnogrzesznicy.

Wielkie witryny księgarskie ukazały przed kilkoma tygodniami nową powieść Gustawa Daniłowskiego, powieść, która, niezwłocznie po tym publicznym występie, uległa konfiskacie.

Ale ten przykry los, to nowoczesne nazbyt, nazbyt często stosowane *auto - da - fe*, spotkało ją tylko w obrebie Galicyi. U nas, chociaż z wydłubanym i tutaj i owdzie ustępem, niby wielkanocne ciasto o wygrzebanych przez niesmacznego smakosza niektórych smaczniejszych rodzynkach, „Marya Magdalena" tworzy pomiędzy książkami sensacyę, z jednej strony obłożona „Wierną rzeką" Żeromskiego, z drugiej „Niebezpiecznemi związkami" Laclos'a.

Gustaw Daniłowski, należący do najgłośniejszych pisarzy polskich młodego pokolenia, w ostatniej swojej powieści zapragnął poruszyć niepospolicie głębokie zagadnienia duszy ludzkiej, rzucił więc przed nasze oczy istotę namiętną, drgającą zdrowiem i pełnią życia, a wystawioną na najcięższe doświadczenia, na tytaniczną walkę z własną naturą w imię osiągnięcia uwielbionego ideału. Daniłowski maluje kobietę potężnych pragnień, kobietę, która oddaje bez zastrzeżeń wszystko za otrzymanie wszystkiego; kobietę, która jest samym płomieniem miłości, płomieniem, nagle zastanowionym w obliczu zagadki, zagadki pokochanej; płomieniem, spalającym się w przerażającej, nieosiągalnej tęsknocie miłosnej, a więc w rozpaczy, nie w rozkoszy; kobietę, którą zdobywa niedostępne ekstatyczną potęgą pragnienia; która pragnieniem serca, krwi, ciała i kości urzeczywistnia swoje palące marzenie; której wzruszenie, potężniejsze od niej samej, rozsadza ją, i druzgocze, i zabija.

To wspaniałe przeżycie człowiecze Daniłowski przedstawił na tle pięknego południowego krajobrazu i w związku z jedną z najpamiętniejszych epok ludzkości, ba! w związku z legendarnie-historycznymi bohaterami tej epoki, więcej! w związku z postacią Boga, który zstąpił na tę załzawioną naszą ziemię, zstąpił w aureoli prostoty uczyć ludzi szczęścia.

*

Tak wygląda dzieło Gustawa Daniłowskiego w najkrótszem streszczeniu, dzieło, przez Daniłowskiego zamierzone. Bo dzieło wykonane nie przedstawia kształtu artystycznie skończonego. Jest to dzieło, zbudowane nie ze złota, ale z nieoczyszczonej rudy, w której tkwi złoto. Szlachetny materyał nie został oddzielony, nie został wytopiony z szarej grudy, to też dzieło dało się odrobić tylko ułomnie i nie zachwyca ani blaskiem, bijącym na przezroczą niby powierzchnię, jakby z głębi własnej duszy, ani nie olśniewa czystością linii.

Pierwszą część książki zajmuje opis zmysłowości i lubieży Maryi Magdaleny. Wszelkiego rodzaju rozkosze cielesne są tu opowiedziane kompetentnie i sumiennie; ale język, którym się opowiada o tych gorących falach namiętnego pożądania i ekstatycznych upojeń, nie pulsuje przyśpieszonym rytmem, nie faluje zgodnie ze skróconym taktem serca, nie zarumienia się purpurą despotycznej żądzy, nie pieni się, jak wrzące źródło, i nie zacicha w omdleniu, jak wyczerpana kobieta. Oto przywara, która rzuciła mi się w oczy pierwsza przy czytaniu ostatniej powieści Daniłowskiego. Ta część „Maryi Magdaleny" powinna być śpiewem, powinna być pieśnią nad pieśniami zmysłów, zmysłów, urzeczywistniających swoję żarliwą tęsknotę.

Albo inaczej.

Cała książka o Maryi Magdalenie powinna być pod względem stylistycznym zbudowana z jednakowych, równych, zimnych-niby kafli, ułożonych taksamo harmonijnie wówczas, gdy toczy się opowieść o wybuchu namiętności, jak i wówczas, kiedy mowa o spokoju duszy bohaterki. Z pośród dzisiejszych pisarzów ten styl reprezentuje głównie Anatol France i Henri de Regnier. O ich stylu można by powiedzieć, że jest gładki, jak biały marmur prostej kolumny greckiej, w której się przegląda uśmiech słońca.

Daniłowski zdaje się zgoła nie dbać o styl w swojej powieści. Nieraz do tego stopnia zapomina o języku, że aż zastanawia. Odsłaniając okładkę „Maryi Magdaleny", sądziłem, że pewnie spotkam język, poczęty z ducha języka „Canticum canticorum" i „Apokalipsy". Nic z tego. Piękne stylistycznie cytaty biblijne znajdowałem między powieściowemi zdaniami, jak drogie kamienie między brukowcami. Nieomal na każdej stronicy czytelnik się potyka o taki określnik: ...„zasnęła *momentalnie*"... (str. 312), albo: ...„I poczynało jej się wydawać istotnie, że to, czego jest świadkiem, jest czemś *iluzorycznem, nierealnem,* jakgdyby *optycznem złudzeniem*" (str. 277), albo o tunice, rzuconej w ogień: ...„spłonęła *w momencie* jęzorem jasnego ognia" (str. 310); albo: „W wątłem świetle bielała jeno uśpiona, piękna twarz, *o czemś niezwykłem śniło z loków falujących włosów* występujące czoło" (str. 174). Na str. 147 czytamy: *„Minęli mdlejącym głosem* świegocącą ptaszarnię"... Albo na 306: „(Magdalena) odskoczyła, zadygotała, jak liść, i raptownym odruchem zanurzyła wszystko (srebrniki) w wodę — zapieniła się i pociągnęła na moment krwią". Kto się zapienił: Marya Magdalena, czy woda? Rozdział VI powieści zaczyna się od zaznaczenia, że „główny pisarz Synhedryonu i znakomity sofer, Emaus, *zdawał sprawozdanie*".

*

Drugą zasadniczą przywarą ostatniej powieści autora „Jaskółki" jest jego niestanowczo określony stosunek do głównego nietytułowego bohatera „Maryi Magdaleny", do Chrystusa. Daniłowski nie zna swojego Chrystusa. Więc i dla nas Chrystus Daniłowskiego jest postacią niejasną. Daniłowski narazie zdaje się w Chrystusie widzieć niezwykłego męża, reformatora i może geniusza, a gdy nam takiego zamierza pokazać, pokazuje go nam bardzo niewyraźnie, tak, że zamiast potężnej w swojej prostocie, seraficznej postaci Głosiciela religii miłości, oglądamy sofistę, a później, w chwili wskrzeszania Łazarza, autor dość niezręcznie rzuca na sprawiającego cuda czarny cień podejrzenia o szarlataneryę. Daniłowski nie umiał nas zachwycić tym pięknym młodzieńcem, który przynosił ludziom nieśmiertelność duszy i zmartwychwstanie ciała; nie potrafił roztoczyć wkoło jego głowy świetlanej aureoli boskości; nie zdołał przepoić tej białej, jak śnieg, postaci płomieniem najżarliwszego serca, jakie posiadała ludzkość, słońcem tak przejmującej dobroci, że na ten widok umilkał, i do dzisiaj milknie wszelki człowieczy głos, usycha na wardze w poczuciu swojej marności nawet ekstatyczny wyraz uwielbienia. A nie uczyniwszy Mistrza geniuszem serca, żywym śród rzeszy aniołem, Daniłowski musiał chybić dzieła artystycznego, w którem pragnął odmalować dramatyczny konflikt bujnych ludzkich zmysłów z nowym, ascetycznym, bądź co bądź, ideałem rozpraszania tęsknoty za osobistem szczęściem w tęsknocie za szczęściem wszystkich ludzi.



Carlo Dolci. Św. Magdalena.

Daniłowski przytacza słynną scenę przyprowadzenia jawnogrzesznicy, Maryi Magdaleny, przed Chrystusa. Daniłowski pojął wspaniałe piękno tej sceny biblijnej, tej sceny, ciężarnej piorunami grozy, i niemal jednocześnie najbłękitniejszej, napogodniejszej zpośród scen wszystkich dramatów, wyrytych w pamięci człowieka. To też Daniłowski rozumnie uczynił z tej sceny rozstajny punkt powieści.

Oto ciżba ludzi o iskrzących oczach, o krzykliwych gardłach, o wzniesionych dłoniach z kamieniami. Między nimi stoi schwytana przez nich i przyprowadzona młoda rozkosznica, zadyszana, przerażona, w poszarpanych szatach, Marya Magdalena.

A przed nią młodzieniec jasnodługo - włosy, lazurowooki, w śnieżnobiałej sukni, spokojny, łagodny, Syn Boży.

Chwila dla jawnogrzesznicy straszna. Wartki cios śmierci wstrzymał się w niespodziewanem jakby roztargnieniu, ale za sekundę uderzy łono hetery z wściekłością. Chwila okropna! Chwila ta się przeciąga...

Wtem przemawia młodzian. Powiedział jedno tylko zdanie i stał się cud. Kamienie wysunęły się z morderczych dłoni i legły niewinnie w piasku, gromada przestała grozić i odeszła. „Niech rzuci na nią kamieniem, kto jest bez grzechu"—powiedział Bóg miłosierdzia. Nieśmiertelne słowa, ustanawiające równość wszystkich ludzi, równość w ułomności.

Ocalenie wzbudza zazwyczaj naturalną wdzięczność. Lecz to niepowszednie ocalenie, którego przedmiotem była Marya Magdalena, wzbudziło w ocalonej nietylko wdzięczność — ono ją olśniło. Otóż tego stanu olśnienia, stanu, będącego punktem wyjścia przemiany duchowej Maryi Magdaleny i początkiem nowego jej życia, w powieści Daniłowskiego brak. *„Marya Magdalena"* to powieść psychologiczna, a przecież pozbawiono ją subtelnego opisu tego zwrotnego momentu, tego bogatego, tego brzemiennego w najbardziej stanowczą zmianę losu, przeżycia tytułowej heroiny.

Dalej wypadki płyną po znanej już z Biblii drodze. Chrystus jest uwięziony, osądzony i ukrzyżowany. Marya Magdalena szaleje z bólu. Judasz, pierwszy kochanek Maryi Magdaleny, bierze ją pod swoję opiekę. Zdradził Chrystusa przez słabość charakteru, ale niebardzo żałuje tego, co się stało, ponieważ zawiódł się na Chrystusie. Inaczej sobie wyobrażał przyjście królestwa niebieskiego na ziemię, bardziej materyalnie, niż należało. Teraz oblicza swoje skąpe grosze i zamierza otworzyć handelek, w którym by gospodarzyła urodziwa Marya Magdalena.

Ale Marya Magdalena, odszedłszy w nocy do grobu Mistrza, miała tam widzenie. Wraca zachwycona, powtarza słowa, któremi do niej przemówił anioł... Judasz opuszcza ręce; ogarnia go śmiertelny smutek; widzi, że Marya Magdalena nazawsze jest dla niego stracona. Ten proletaryusz niefortunny doznaje ostatecznego zniechęcenia do życia śród wiecznej nędzy, postanawia już więcej szczęścia nie probować: odbiera sobie życie.

Ta postać najsławniejszego ze znanych w historyi zdrajców nie budzi w powieści Daniłowskiego ani grozy, ani współczucia, ani litości, ani pogardy. Pochodzi to znów stąd, że jest blada, jak karty, na których ją opisano. Nieporozumienie zaś Judasza na punkcie nauki Jezusa zatrąca głupotą, gdy przecież autor zgóry nam oświadczył, że Judasz z Keriot, to „mowny wykrętacz, noszący w swoim wielkim rudym czerepie chaos niepospolitych myśli, a pod łataną opończą skorpiona potężnych żądz i ambitnych zamiarów, silny i bezwzględny..." (str. 8).

A pozostali bohaterowie „Maryi Magdaleny" są taksamo wycinankami z papieru. Mucyusz, patrycyusz rzymski, Piłat, członkowie Synhedrionu, Piotr, Paweł?.. W żyłach tych wszystkich postaci płynie biała krew literatury. Żadna z tych figur nie

jest przez autora przeżyta, w żadną z nich autor się nie wczuł, żadnej do głębi nie przemyślał.

*

Zakończenie powieści o Maryi Magdalenie jest pomyślane świetnie i zdradza mocny pazur *d'un romancier de qualité.* Scena ukrzyżowania Maryi Magdaleny przypomina słynne kompozycye wizyonerskie opętańca erotyzmu, Ropsa. Ale w Ropsowską atmosferę rozgorączkowanej zmysłowości, która ma odwagę rozpinać swoje nietoperze skrzydła tylko po nocy, jak grzech, jak występek, Daniłowski umiał wprowadzić jednę złotą nitkę, jeden złoty promień, słoneczny, rozkoszny pierwiastek helleńskiej radości życia.

*

W rozmowach zapytywano mnie kilkakrotnie, czy „Marya Magdalena" jest książką moralną.

Daniłowski nie pisał swojej powieści dla trzecioklasistów, a ludzi pełnoletnich nie może przecież zgorszyć cudzy, choćby najodmienniejszy, rodzaj myślenia. Na cudzy argument odpowiada się własnem zastanowieniem, zastanowienie zaś nikomu jeszcze nie przyniosło szkody. Są przecież sfery, które uważają „Maryę Magdalenę" za powieść groźną i zasługującą na stos. Tym sferom bym odrzekł, że „Marya Magdalena", w porównaniu z inną powieścią, z powieścią nie historyczną, arcyprzyzwoitą, z powieścią wprawdzie francuską i dotąd jeszcze nie spolszczoną, ale od pięćdziesięciu lat sławną w Europie, mianowicie, z romansem braci Goncourt'ów, zatytułowanym skromnie *„Madame Gervaisais"*, „Marya Magdalena" jest książką niewinną. A przecież „Madame Gervaisais" nie uległa konfiskacie i z pewnością konfiskacie nie ulegnie u nas, jeżeli ją Boy, Rogowicz, albo Miriam przełoży na język polski.

Zaiste, nie jest to prosty przypadek, że przy czytaniu „Maryi Magdaleny" przyszła mi na myśl „Madame Gervaisais". Stosunek arcydzieła Goncourt'ów do ostatniej powieści Daniłowskiego możnaby wyrazić stosunkiem szeptu do krzyku. I możnaby się zdumieć tej przewadze siły, jaką czasami posiada cichy szept nad krzykiem.

Wacław Grubiński.



G. Daniłowski (x) z W. Grubińskim na Lido.
Fot. amat. Jana Smotryckiego.



Odnowione krużganki Franciszkańskie w Krakowie.

Jak ocalała dusza starego klasztoru.

Codziennie przechodzę mimo olbrzymiej szarej masy murów, uwieńczonych wstęgą plantów krakowskich, i codzień mijam je przyjaznem spojrzeniem, które chwyta w przelocie ich niewysłowiony czar: to klasztor „na gródku", w historycznem miejscu, gdzie Łokietek dosięgnął buntowniczego wójta Alberta i zadał pierwszy cios niemieckiej hydrze w Krakowie. Jest się tu w samem sercu miasta, o kilkanaście zaledwie kroków od Rynku i Sukiennic. Ruch uliczny, na jaki się Kraków może zdobyć, dochodzi tu do najwyższego natężenia: turkocą koła dorożek, sapią automobile, płynie w jednę i drugą stronę fala ludzka. Wśród gwaru rozlewającego się wokół życia stoi zawsze niemy ogromny klasztor „na gródku", senny, uroczyście zastygły, cudownie podkreślający przepaść między żywą współczesnością i zamarłą przeszłością, która w tem królewskiem mieście tyle śladów po sobie zostawiła...

Takich klasztorów ma Kraków wiele. Wszystkie są w obrębie śródmieścia. Wszystkie opływa dokoła wir życia. Wszystkie odgrodziły się od świata, zawarły się wewnątrz siebie, głuche, obojętne, jakby zaśnięte w letargu.

W estetyce miasta są one czynnikiem, którego nic nie może zastąpić i z którym mało co da się porównać. Dziś, gdy Kraków modernizuje się, będziemy coraz żywiej odczuwać piękno kontrastu i piękno różnorodności, które wnoszą ze sobą sędziwe mury klasztorne. Ruch budowlany, posuwający się wartko naprzód, zapełnia wszelkie puste przestrzenie, na których oko mogło spocząć bez niepokoju, podciąga wszystko pod strychulec czynszowego domu, tępi ogrody, wyzyskuje każdą wolną piędź ziemi. Ale zatrzymać się musi u klasztornego muru. Ten długi, szary mur, z za którego wiosną chylą się okwiecone drzewa i za którym rysuje się sylweta budowli niedzisiejszej, o linii swobodnej i malowniczej, staje się poezyą współczesnej ulicy, której nużącą monotonię rozrywa i ożywia. Choćby się stało na przeciwnym biegunie wszelkiego kultu religijnego, musi się spoglądać z miłością na te piękne anachronizmy i z wdzięcznością myśleć o tych, którzy zostawili je potomnym. Są to klejnoty Krakowa, nietylko cenne, ale i niezwykle trwałe. Może wandalizm współczesny przerabiać stare pałace na Waarenhauzy, może z patrycyuszowskich odwiecznych domów czynić latarnie sklepowe o lustrzanych szybach, lecz przed bramą klasztorną musi się cofnąć. Tych jedynych progów nie może przekroczyć utylitaryzm.

Zagrozić mogłaby im tylko jedna rzecz: nieumiejętna restauracya. Sędziwe budowle są obliczone na długie stulecia, jednak nie da się uniknąć w nich różnych odnowień i zastosowań do zmieniających się potrzeb, które i tu sięgają. Wobec mnogości klasztorów krakowskich sztuka restauracyjna, tak młoda jeszcze i niezupełnie ustalona, stoi przed zadaniem niezmiernie odpowiedzialnem. Pytanie: jak restaurować zabytki architektury, aby nie uronić z nich nic, co cennego zostawiła nam przeszłość, aby nie wyrządzić mimowolnych szkód, których nigdy już potem nie możnaby było powetować, to pytanie jest dla kultury ogromnej wagi i musi być w każdym poszczególnym wypadku rozważane z największą skrupulatnością. Dusza starej budowli żyje nie w samej tylko konstrukcyi. Ona tkwi w niepozornych a sharmonizowanych ze sobą drobiazgach, kryje się w nieużytecznej dziś przybudówce, zataiła się może pod warstwą tynku, jako za-

Z klasztoru Franciszkanów w Krakowie.



Biskup Fran. Krasiński.



Biskup Andrzej Załuski.

pomniane malowidło. Może ulecieć, gdy dotknie jej dłoń niedość ostrożna.

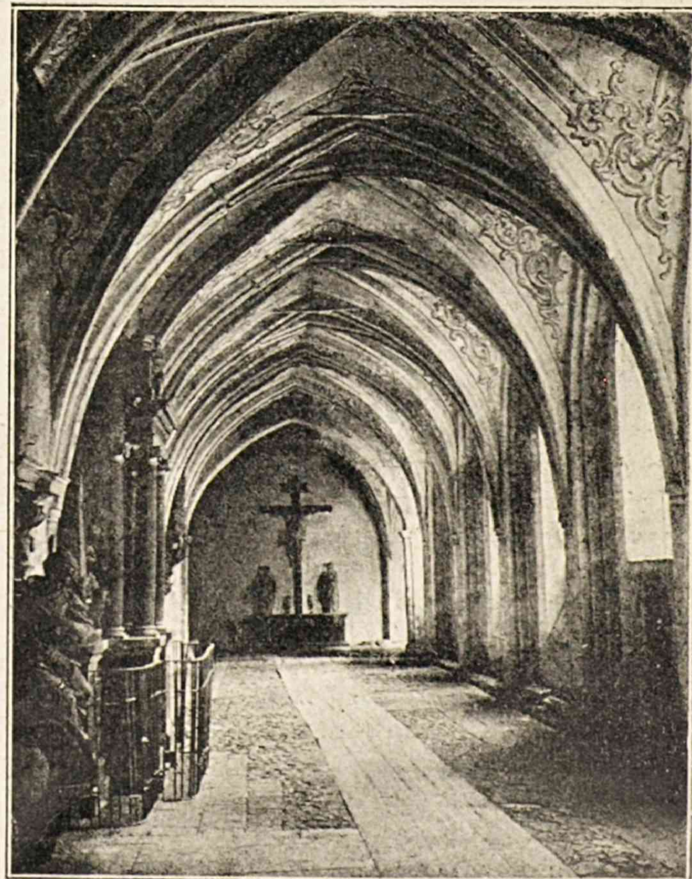
Restauracya—to wiedza, artyzm i miłość, związane solidarnie do wspólnej pracy. Znakomity przykład tego skojarzenia, nie zawsze dającego się osiągnąć, stworzył Kraków w ukończonej świeżo, wzorowej i pod każdym względem doskonałej restauracyi klasztoru Franciszkanów. Klasztor, należący do jednego z najstarszych zakonów w Krakowie, jest typowym okazem długiego nawarstwowienia stuleci. Nie powstał według szerokiego planu; budowały go stopniowo czas i potrzeba, skutkiem czego ukształtował się kompleks budowli, zarysowany z oryginalną i zajmującą swobodą. Podobną genezę ma i kościół klasztorny, od którego zaczęto restauracyę, a który nabrał rozgłosu w całej Polsce, dzięki wspaniałej polichromii Wyspiańskiego i jego potężnym i przepięknym witrażom.

Klasztor słynął z krużganków. Olbrzymi czworobok, sięgający czasem swego powstania w koniec wieku XIV, pamiętny ucztami, które się tu odbywały z udziałem królowej Jadwigi, podupadły i zaniedbany, przedstawiał dla restauracyi pole szerokie i wdzięczne. Przypadkowa okoliczność uczyniła z niego ciekawą galeryę. Klasztor znajduje się w najbliższem sąsiedztwie pałacu biskupiego, i to nasunęło zakonnikom myśl gromadzenia u siebie portretów biskupów krakowskich, których — w ciągu lat 400 — zebrało się 28. Zawieszano je kolejno w krużgankach, gdzie z czasem, dzieląc los całego klasztoru, uległy opuszczeniu i ruinie. Z chwilą przystąpienia do restauracyi, musiały być usunięte, wraz ze wszystkiem, co zakrywało ściany, i wówczas natrafiono na głębszy pokład kultury zakonnej, na ślady fresków na murze, częściowo zasłoniętych wapnem. Portrety, malowane na drzewie lub na płótnie, tworzą już przez samą następczość swego powstawania zbiór nader cenny (najwcześniejsze należą do w. XVI), a przy bliższem zbadaniu okazały się także artystycznie dziełami niepośledniej lub nawet wybitnej wartości. Do takich należą portrety biskupów Tomickiego, Trzebickiego, Gamrata, Lipskiego, Denhoffa, Myszkowskiego, Krasińskiego, Załuskiego. Siła wyrazu świadczy o ich bezpośredniości, o malowaniu z żywego modela. Odnowienie ich wzięło w swe ręce Towarzystwo krakowskie opieki nad zabytkami, przywracając im blask zatarty. Pracą nierównie cięższą, ale i donioślejszą, było odnowienie fresków, ukrytych dotąd pod wapnem i tynkiem lub pod zawieszonemi na ścianach portretami, więc stanowiących prawdziwą zdobycz. Znalazły się tu portrety dawniejszych biskupów, schematyczne, malowane z pamięci, i szereg kompozycyi figuralnych, w których wdzięk naiwnej prostoty kojarzy się z niewątpliwym, nieraz wysokim artyzmem.

Odnowienia fresków dokonał w sposób świetny największy w Polsce znawca tej trudnej sztuki, Juliusz Makarewicz, a troskliwość i przezorność, towarzyszące tej pracy, stały w odpowiednim stosunku do pietyzmu, z jakim przeprowadzono całą restauracyę klasztoru. Krużganki Franciszkańskie, ten drogocenny klejnot starego Krakowa, odzyskały swój dawny przepych. Przytykająca do nich obszerna „kaplica włoska", zdobna stiukami Baltazara Fontany, zaniedbana do niedawna, a dziś odnowiona, służy, jako muzeum klasztorne, w którem znalazła pomieszczenie galerya portretów biskupich. Cała restauracya rozpoczętą została pod kierunkiem prof. Jana Zubrzyckiego, do końca doprowadził ją utalentowany architekt krakowski, Fr. Mączyński. Należy także ze czcią zapisać imię zacnego gwardyana zakonu Franciszkanów, O. Aloizego Karwackiego, który cudownie mnożył szczupłe fundusze, aby wielką rzecz uskutecznić, który w niepokalanie pięknej szacie przywrócił Krakowowi jeden z najcenniejszych jego zabytków i który rozumiał, że dla tego dzieła trzeba było pozyskać niepospolicie subtelnych artystów, aby nie uleciała dusza ze starego klasztoru...

Klasztor Franciszkanów w Krakowie jest chlubą naszej sztuki restauracyjnej — a to znaczy: chlubą naszej kultury wogóle. Nigdzie może bowiem w takim stopniu nie uwydatnia się subtelność ręki, jak w zetknięciu się z czcigodnemi okruchami piekna, jakie zostawiła nam przeszłość, i nigdzie tak dobitnie, jak tu, nie manifestuje się barbarzyństwo, choćby po wierzchu najbardziej cywilizowane. Gdy patrzę na mury Franciszkańskie w Krakowie, w których tak szczęśliwie utrwalono ich wdziek odwieczny, przypomina mi się prawem kontrastu inne, głośniejsze dzieło restauracyjne: zmodernizowany, umundurowany nanowo, błyszczący Malborg, z którego wprawdzie musiały uciec w popłochu cienie mistrzów i komturów, ale w którym zato czuje się znakomicie ich niespokojna współczesna kopia, szef domu Hohenzollern.

Kraków. *Clarus.*



Krużganki w klasztorze Franciszkanów.

Dwudziestolecie Tow. dziennikarzy polskich we Lwowie.

Fot. M. Münza we Lwowie.



1. Prezes Adam Krechowiecki, 2. dr. Aleks. Vogel, 3. Michał Rolle, 4. Aleks. Milski, 5. Poseł Merunowicz, 6. Fr. Rawita-Gawroński, 7. dr. Witold Lewicki, 8 Tadeusz Czapelski, 9. Bolesław Lewicki, 10. W. Szenderowicz, 11. Wł. Zawadzki, 12. Br. Laskownicki, 13. J. K. Zieliński, 14. Wł. Prokesz, 15. Al. Karcz, 16. Adam Krajewski, 17. H. Cepnik, 18. L. Szenderowicz, 19. dr. Grek, 20. Kaźm. Czapelski, 21. A. Lech, 22. Edm. Kolbuszowski, 23. Staniszewski, 24. Artur Schröder, 25. Wacław Masłowski, 26. dr. Michalewski, 27. M. Wąsowicz.

Ze stolicy nadnewskiej.

Kartki ulotne.

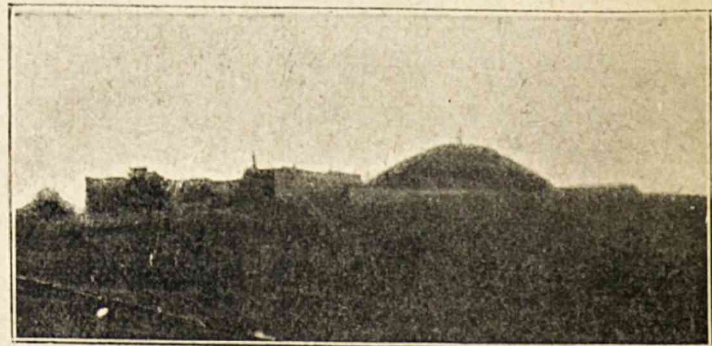
...Są na świecie umysły szczęśliwe. Kilka ogólników z zakresu umiejętności, zwanych ścisłemi, obnoszonych przez młodzież postępową przed półwiekiem, kilka zasad, oderwanych z czasów rozkwitu, owianego urokiem młodzieńczości liberalizmu, a wszystkie zagadnienia życia społecznego rozwiązują się bez trudności, wszystkie sprzeczności nikną, robi się jasność taka, że, gdyby nie zdawała się pochodzić z braku treści, dawnoby pławili się w niej wszyscy, jak pławią się owe umysły wyjątkowe. Należy do nich bezsprzecznie prof. Baudouin de Courtenay, zasłużenie wsławiony na polu językoznawstwa, a wsławiający się jeszcze odczytami i broszurami, poruszającemi najzawilsze sprawy społeczne. Ma prostotę niemal tołstojowską w rozumowaniach i poglądach, a godzi się nawet ze starcem z Jasnej Polany w niektórych wynikach. Ta sama metoda, ta sama logika, ta sama bezwzględność u obu, jakkolwiek różnemi zdają się iść drogami. Ostatnio zabrał się profesor do sprawy tak zwanego bojkotu żydów w Królestwie. Ujrzał w tym kraju dwie narodowości odrębne, niezbyt sobie przychylne. Poco? Wszak mogłoby nie być żadnej, nietylko nad Wisłą, ale w ogólności na świecie! Żyliby poprostu i umierali ludzie. Narodowość bowiem, według pewnej teoryi z przed półwieku, jest czemś w rodzaju brodawek piersiowych u mężczyzn, pozostałością z czasów barbarzyńskich czy przedbarbarzyńskich, kiedy ludzie żyli w gromadach, jak dzikie psy równin australijskich, a gromady żarły się ze sobą przy każdem spotkaniu. Objawami szczątkowemi są także zrzeszenia wyznaniowe, religia bowiem, znowu według pewnej teoryi ewolucyjnej, jest dzieckiem lęków i sennych widzeń człowieka pierwotnego. Trzeba tedy unieść się wzwyż, odrodzić się u źródeł beznarodowości i bezwyznaniowości, jeżeli zaś ogół do tego nie dojrzał, niech przynajmniej wszyscy polacy nauczą się żargonu, a żydzi polszczyzny, i niech będzie tak, by nikt nie domyślił się, kogo ma przed sobą, polaka czy żyda. Takie to przecie łatwe, zrozumiałe, rozsądne, proste, wyraźne i... naukowe. Tak mówił szanowny profesor, i żadna potęga mu nie udowodni, że nie miał słuszności, bo poczucie beznarodowości jest także swego rodzaju patryotyzmem, w bezwyznaniowości zaś tkwi fanatyzm swoisty, a jeden i drugi to mury, o które, jak groch, odbija się wszelki dowód...

. . . .

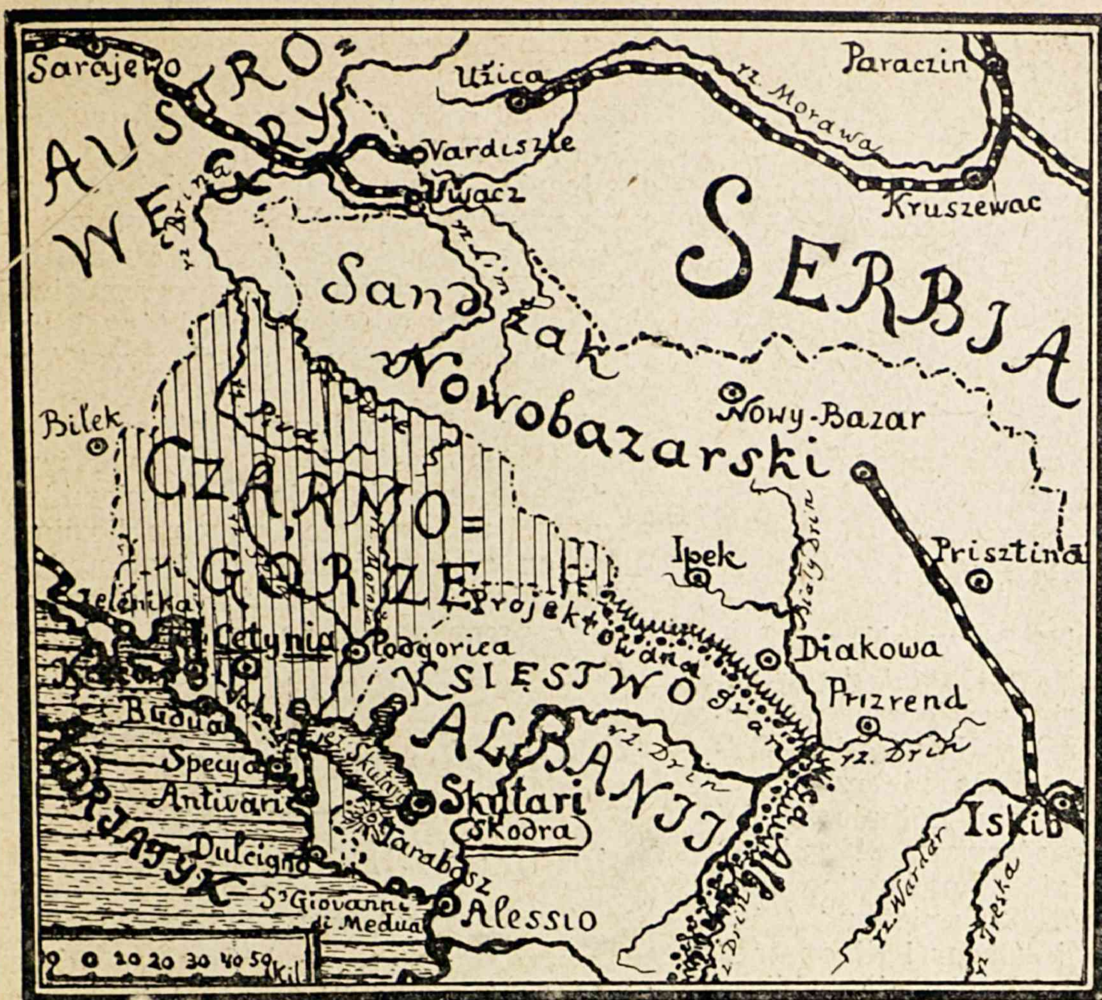
...Ustały, jak na komendę, demonstracye pseudosłowiańskie. Wystarczyło parę okólników policyjnych, by ogień słomiany stłumić. Odbywają się jeszcze biesiady, ale niema już nawet przewodniczących o wybitniejszych imionach. Niestrudzeni mówcy powtarzają jeszcze przy kielichach, że Skutari należy się Czarnogórzu, a Sylistryi Rumunia nie dostanie, choć wiedzą doskonale, że już król Mikołaj zrzekł się zamiaru objęcia w posiadanie albańskiego miasta, i że konferencya tutejsza posłów wielkich mocarstw Sylistryę Rumunii oddała. Można sobie wyobrazić, jaką wiarą płoną serca tych mówców, jaką szczerością tchną ich uczucia „braterskie". Od początku zresztą nie szło im bynajmniej o słowian, którzy, jako zwycięzcy, żadnej pomocy nie potrzebowali, ale o coś innego. Że tak było, świadczą mowy z przed kilku tygodni, wyrażające obawę, że Bułgarya zdobędzie Konstantynopol i że w ten sposób prysną nazawsze sny o potędze Katarzyny II; świadczą dziś nieukrywane lęki o przyszły układ stosunków na Bałkanie, o los wpływów z północy, które osłabnąć, a nawet ustać mogą w wielkich już dziś krajach samoistnych, zdolnych pielęgnować własną kulturę narodową i nie zapożyczać się od potężnych „braci". *Da lag der Hund begraben*, i tu wciąż leży to biedne stworzenie, nad którem biesiadnicy petersburscy zawodzą tak minorowo. Leży zresztą także w Królestwie, obdarzonem oto przez Radę Państwa samorządem miejskim, z którego mowę polską wyrugowano tak bezwzględnie może właśnie dlatego, że odtąd w Adryanopolu rozbrzmiewać będzie bułgarska, a w Prizrenie i Iskiubie serbska, i prawdopodobnie nazawsze. Niechże przynajmniej w Jędrzejowie i Przasnyszu nie brzmi w radach miejskich „seperatystyczny" język polski, pomyślał sobie przewodniczący do niedawna biesiadom słowianofilskim p. Hurko, i pomysł ten pozyskał głosy większości izby, o której najgoretszych uczuciach braterskich dla słowian nikt chyba na chwilę odtąd nie zwątpi...

Petersburg. *Bh. K.*

Wielki Kraków.



Kopiec Krakusa, „przyłączony" do Krakowa wraz z Podgórzem.



Mapa Albanii i Czarnogórza.



1. Kattaro z górą Łowczen. 2. Wojsko austryackie w pogotowiu na granicy Czarnogórza.



Essad-basza, obrońca Skutari.

Sufrażystki.

Jednem z najciekawszych zjawisk „nowego ducha czasu“ jest akcya tak zwanych sufrażystek, czyli kobiet, żądających głosu przy wyborach państwowych narówni z mężczyznami. Akcya ta, jak wiadomo, przybrała ostre formy zatargów z władzami w Anglii; nigdzie atoli nie jest ona tak rozległą i tak umiejętnie zorganizowaną, jak w Ameryce.

Wraz z objęciem władzy przez nowego prezydenta Stanów, Wilsona, i z racyi objęcia tej władzy, nastąpiły w Waszyngtonie, d. 3 marca r. b., manifestacye, przewyższające wszystkie dotychczasowe zabiegi emancypacyjne kobiet. W wigilię wkroczenia prezydenta do t. zw. Białego Domu odbył się pochód, „najbardziej osobliwy ze wszystkich, jakie dotychczas widzieli amerykanie“. Już przedtem wspaniały program ilustrowany, zawierający podobizny najwybitniejszych bojowniczek „głosu“ (a są między niemi prześliczne!) i porządek całej parady, został rozrzucony w setkach tysięcy egzemplarzy. Wszystko tu zostało zarządzone przedziwnie, z tem poczuciem wysokiem ładu i metody, jakie cechuje rasę. Na czele pochodu postępowała pani Rikarda Coke, Wielka Marszałkini, a za nią oficerowie (czy też oficerki) „Amerykańskiego Stowarzyszenia Narodowego Kobiet Sufrażystek“, z prezesową swą na czele, wielce szanowną panią Anną Howard Shaw, która posiada najwyższe stopnie uniwersyteckie. Potem defilowały te narodowości, gdzie kobieta uzyskała już prawo głosu, za niemi te, które są już blizkie uzyskania, wreszcie te, które nic jeszcze nie uzyskały. Za tem — olbrzymia kawalkada, odtwarzająca historyę sprawy kobiecej i obrazująca różne dziedziny, w których odznaczyła się kobieta, od sióstr miłosierdzia na wojnie aż do mamek, od doktorek aż do adwokatek, od pisarek i profesorek aż do muzyczek i aktorek. Aktorstwo reprezentowała panna Fola la Folette, czarująca urodą i wdziękiem.

A potem — jedna z najoryginalniejszych maskarad pochodowych. Niezliczone wozy i automobile, kostyumy wspaniałe, sztandary wielobarwne. A oto „brygada konna“ pod przewództwem panny Genowefy Wimsatt, prześlicznego „cowboy'a“ kobiecego. Co za obraz wspaniały! Kobiety amerykańskie, jak wiadomo, jeżdżą konno z równą odwagą i brawurą, jak mężczyźni. Banderye szeleściły w powietrzu, tworząc frazes wyroczny: „głosu kobietom!“ Obecność pani Taft na trybunie honorowej nadawała tej manifestacyi cechy oficyalne. Pochód ten wojenny obejmował 6000 sufrażystek — i budził więcej uciechy, niż poważnego przejęcia, śród widzów i brzydszej połowy.

Swoją drogą, jest coś osobliwego w tym nowym ruchu kobiecym. Jeżeli pewna część sufrażystek amerykańskich manifestuje jedynie dla chęci okazania pięknych kostyumów i dla pozy kobiecej, są bezsprzecznie i takie, które z całą sil-



Brygada sufrażystek w Waszyngtonie podczas manifestacyi marcowych.

ną wolą pracują dla zwycięstwa swych idei. Wiele z nich, jak np., pani Belmont, matka księżnej Marlborough, należy do najwyższej arystokracyi. A dodać należy, że niema upartszej istoty od amerykanki, gdy chodzi o postawienie na swojem i o dążenia do niezależności. Dziewięć stanów na trzydzieści przyznało już prawo głosu kobietom: oto rezultat ich wytrwałości czy też ich uporu. I z tem się też liczyć należy.

Tak oto kobieta amerykańska walczy dziś o swe *prawa*. Czy, zyskując *prawa*, nie straci *prerogatyw*, jakie ma dziś śród mężczyzn, i czy zgodzi się na ich utratę — oto pytania, które leżą u progu nowej formy życia!

*

Podczas gdy amerykanki pokojowemi, malowniczemi manifestacyami zdobywają, lub chcą zdobyć dla siebie równouprawnienie, w Anglii szermierki „praw dla kobiet“ ogarnął istny szał niszczycielski. Wspaniałe ogrody i oranżerye, kosztowne dzieła sztuki w muzeach i galeryach, to ofiary ich emancypacyjnej walki, toczącej się pod wodzą „najenergiczniejszej“ kobiecej działaczki, pani Pankhurst. Przywódczyni odsiaduje właśnie karę więzienia za swe bohaterskie czyny; pionierki feminizmu mszczą się za jej „krzywdę“, niszcząc po muzeach stare, cenne obrazy.


Pani Pankhurst.

ii.

„Król Hamletów“.

W liczbie kilkudziesięciu teatrów londyńskich, zgrupowanych w jednej dzielnicy, starożytny i popularny „Drury Lane“ święci obecnie tryumf olbrzymi, nietylko kasowy, lecz i artystyczny. Odbywają się w nim bowiem gościnne występy słynnego Forbes-Robertsona, artysty z generacyi, która już ustępuje ze sceny, lecz nie widzi godnych następców. Forbes-Robertson urodził się w r. 1853, debiutował, mając lat 20, w „Maryi Stuart“, zaś w latach 1880—1881 był partnerem Modrzejewskiej w Teatrze Dworskim (Court Theatre) w Londynie. Odtąd rozpoczyna się okres nieprzerwany tryumfów artysty na obu półkulach. W r. 1895 gra po raz pierwszy „Hamleta“ i zdobywa tą rolą nietylko Anglię, lecz i wybredne Niemcy. „Hamletem“ też i „Cezarem“ ze sztuki „Cezar i Kleopatra“ Bernarda Shaw'a żegna obecnie publiczność.

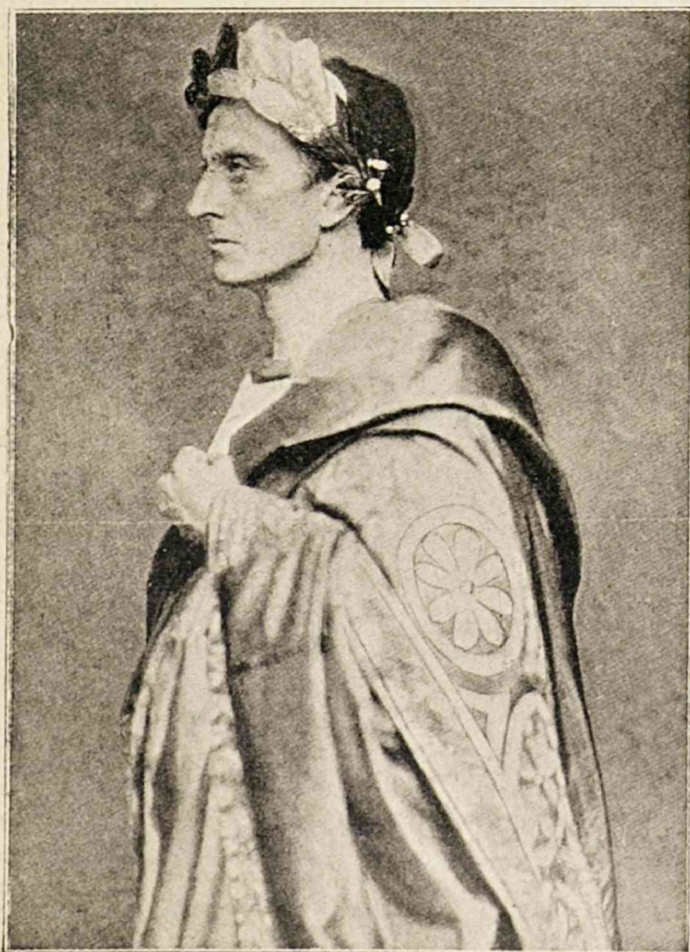

Forbes-Robertson, jako Hamlet.

Kto widział Robertsona w „Hamlecie“, nie potrafi chyba pogodzić się z inną interpretacyą tej genialnej postaci, zwłaszcza z Hamletem francuzów, takiego np. Mounet-Sully lub południowców à la Salvini. Hamlet-Robertson, to ktoś niezmiernie prosty i swoisty, cichy, cierpiący człowiek, bohater, pozbawiony gwałtownych wybuchów i suggerowanej mu przez tradycyę manii prześladowczej. Jako aktora, cechuje Robertsona niewypowiedziana wytworność gestów i modulacyi głosu, panowanie nad całokształtem skomplikowanej jaźni królewicza duńskiego w każdej chwili, w każdem załamaniu jego przeżyć. Stąd gra dyskretna, intuicyjna, psychiczna nawskroś, operująca potencyami, którym nie daje się wyrwać nazewnątrz. Jest to Hamlet współczesny, nerwowiec, ale nerwowiec-gentleman, trzymający swą grę wobec ludzi w surowych karbach woli. Trudno o większy czar zewnętrzny, jak ten, który daje w „Hamlecie“ ustępujący ze sceny, a za życia przezwany przez współczesnych „królem wszystkich Hamletów“ — Forbes-Robertson.

Ofelię i Kleopatrę gra miss Gertrude Elliott, od roku 1900 żona i stała partnerka Forbes-Robertsona, amerykanka z pochodzenia, jedna z najbardziej czarujących artystek angielskich. Znakomicie odtwarza w „Hamlecie“ słynną scenę obłąkania Ofelii, wydobywając przedziwnie tragiczne nuty w śpiewkach, których uroku na żaden język nie da się przetłómaczyć.

Teatr „Drury Lane“, obliczony na kilka tysięcy osób, jeden z największych na świecie, z trudnością mieści niewidziane nawet w Londynie tłumy publiczności, która co wieczór śpieszy do jego podwoi, ażeby ujrzeć wielką parę artystów, zanim ta scenę opuści na zawsze.

Londyn. *Doł.*


Forbes-Robertson, jako Cezar.


Gertruda Elliot, jako Kleopatra.

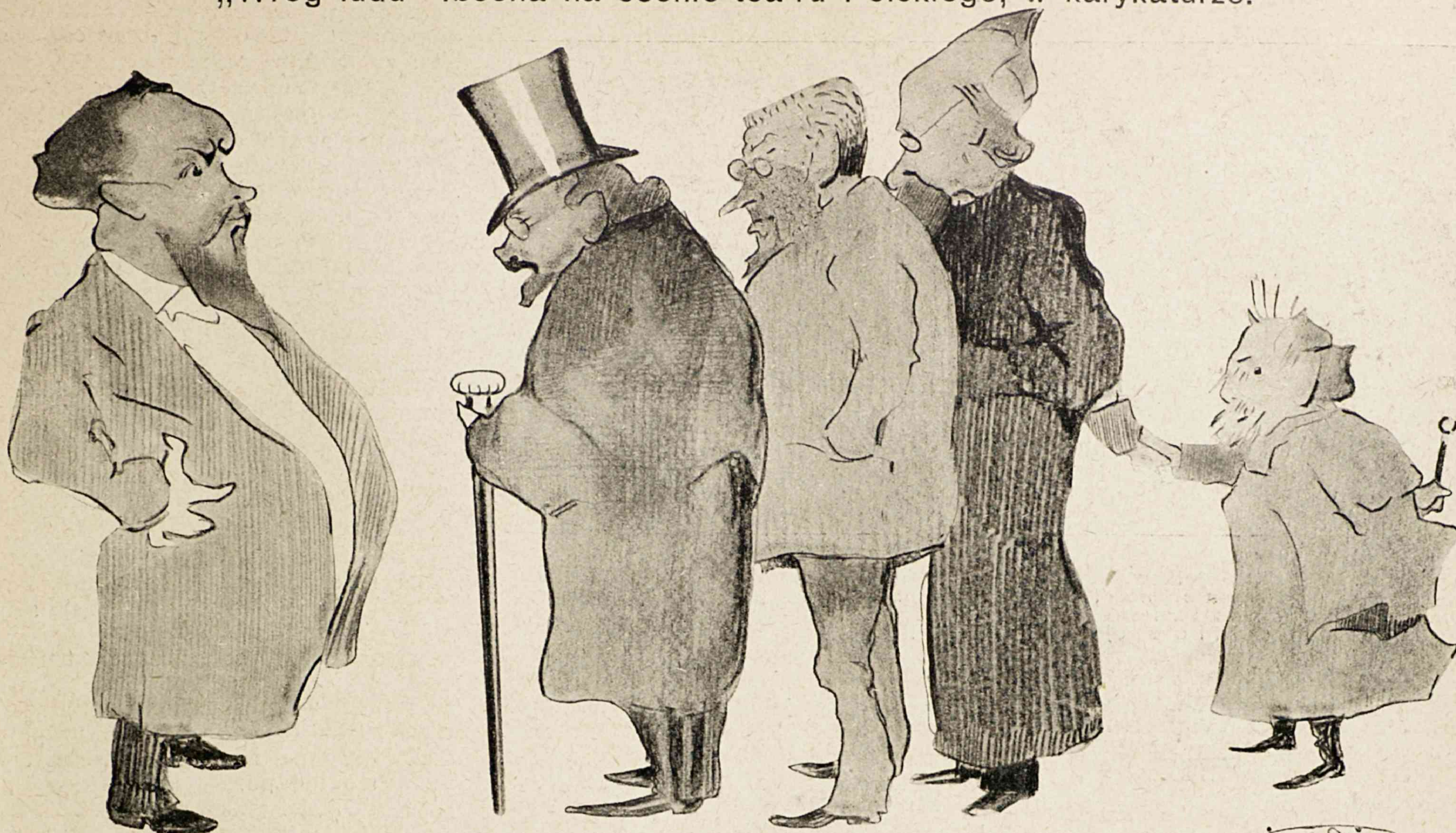
Z teatrów warszawskich.

Jubileusz J. Kotarbińskiego.

Zasłużony krytyk i publicysta, kierownik teatralny, który w dziejach teatru polskiego będzie posiadał niewątpliwie trwałą kartę, artysta dramatyczny wreszcie, który pięknym talentem deklamacyjnym popularyzował przez szereg lat najwznioślejsze utwory poezyi polskiej,— Józef Kotarbiński obchodzi 45-letni jubileusz pracy literackiej, 35-letni — pobytu na scenie. Należy podkreślić, że w świecie zakulisowym Kotarbiński niepowszedniem był i jest ziawiskiem: wychowaniec b. Szkoły Głównej, człowiek z uniwersyteckiem wykształceniem, przejęty zawsze duchem obywatelskim i wyższem poczuciem obowiązków wobec społeczeństwa... Jako publicysta i krytyk, Kotarbiński rozpoczął swą pracę w szeregach pozytywistów i hasłom ich pozostał wierny. Od długich lat wszystkie niemal poważniejsze czasopisma warszawskie zasilał swem piórem (w tej liczbie i „Świat“), zaś większe studyum książkowe o Wyspiańskim, p. t. „Pogrobowiec romantyzmu“, w naszem ubogiem piśmiennictwie krytycznem zajmuje poczesne miejsce. Jemu też przypadł zaszczyt wprowadzenia arcydzieła Wyspiańskiego na scenę: „Wesele“ po raz pierwszy ukazało się w teatrze krakowskim za czasów jego dyrekcyi. Kotarbiński wogóle i jako krytyk, i jako kierownik teatralny, chętnie udzielał poparcia młodym autorom; niejeden ze znanych dzisiaj dramaturgów polskich jemu pierwsze sukcesy zawdzięcza. Mierząc atoli wartość dzieła głównie jego pożytkiem społecznym, Kotarbiński nieraz był w rozterce z górującemi prądami w sztuce. Poddawał się im niechętnie, a własnym, trzeźwym przekonaniom dał wyraz w studyum o „Niezdrowej miłości“, będącem protestem przeciw młodzieńczym wybujałościom i erotycznej swawoli.

Ustąpiwszy w 1905 r. z dyrekcyi teatru krakowskiego, Kotarbiński niebawem objął obowiązki doradcy

„Wróg ludu" Ibsena na scenie teatru Polskiego, w karykaturze. *Rys. Z. Nirnstein*



Pp. Zelwerowicz *(Stockman)*, Sosnowski *(burmistrz)*, Junosza *(redaktor)*, Grabowski *(drukarz)*, Zieliński *(garbarz)*.

literackiego przy Warszawskich Teatrach Rządowych. W nieokreślonych bliżej i nieuregulowanych warunkach najlepsza wola nic zdziałać nie mogła. Jeśli ten okres w dziejach pierwszej sceny polskiej nie zaważy, z pewnością najsurowszy krytyk nie będzie obwiniał z tego powodu Kotarbińskiego. Ten tylko może być odpowiedzialnym za wyniki, kto ma właściwą władzę. Wśród bezładu, jaki od szeregu lat uczynił się normalnym stanem teatru Rozmaitości, stanowisko kierownika literackiego było niejasnem i pozbawionem należnych atrybutów.

Dobra wola, jaką okazywał zawsze, zostawi miłe wspomnienia u tych wszystkich, którzy w tym czasie z teatrem Rozmaitości mieli do czynienia. Zaś jubileuszowe przedstawienie, które odbędzie się w dniu 9 maja w Teatrze Wielkim, zgromadzi niechybnie bardzo liczne zastępy



Józef Kotarbiński.

publiczności, umiejącej ocenić rzetelne zasługi. Tem więcej, że na scenie ukaże się „Ojczyzna", jedna z najefektowniejszych sztuk Wiktoryna Sardou, która dotąd ze względów cenzuralnych nie mogła być graną w Warszawie. Przedtem, w dniu 8 maja, po południu odbędzie się raut na cześć jubilata. *sk.*

TEATR POLSKI. „Wróg ludu", dramat w 5-ciu aktach G. Ibsena.

Publiczność nasza zna i pamięta „Wroga ludu" z przedstawień amatorskich „Miłośników sceny", pierwszych, jacy zapoznali u nas szerszy ogół z Ibsenem, a następnie z występów Żelazowskiego, który przed kilku laty odniósł zasłużony tryumf w głównej roli dramatu. Nie potrzeba zatem przypominać, czem jest „Wróg ludu" w działalności dramatycznej „wielkiego samotnika z Północy", że to był moment przełomu, w którym Ibsen, rozczarowany do opinii tłumu, oburzony głosem *większości,* która niedawno potępiła jego „Upiory", rzuca jej w twarz rękawicę, mówiąc przez usta bohatera dramatu: jesteś głupia, niesprawiedliwa i podła!... Sztuka więc, na tym stafażu polemicznym zbudowana, posiada momenty, gdzie akcenty oburzenia biorą górę nad istotą dramatu, przyczem nie wszystkie motywy, jakich doktór Stockman we własnej obronie, a ku moralnej porażce swych przeciwników używa, wytrzymaćby mogły krytykę *der reinen Vernunft.*

Na tem polega również trudność głównej roli, będącej od początku do końca właściwie uosobioną tylko argumentacyą przeciw opinii większości. W argumentacyi tej powinna być wielka siła, a jednak miara. Ten, kto, zwyciężony przez większość, zdobywa się jednak na okrzyk: „Jestem najsilniejszym, bo jestem sam!" — powinien mieć w tej chwili gest bohatera, a jednak w geście tym odczuwać się powinna gorycz i ból serdeczny.

P. Zelwerowicz miał chwile doskonałe — czasem jednak zdawało się, że jest jakby znużonym, jakby się wahał. W akcie 4-tym, kiedy staje oko w oko z tłumem, rzucając mu w twarz swoje obelgi — z początku swej filipiki, jakgdyby się zacinał. Bardzo słusznie: dr. Stockman nie jest mówcą, nie posiada wprawy. Ale później siła przekonania ma brać górę nad brakiem techniki retora, więc argumentacya powinna nabierać coraz więcej rozmachu, wzrastać i potężnieć, jak lawina... Wtedy i wrażenie byłoby silniejszem. Efekt ten nie został dostatecznie wyzyskany. Jednakże całość roli wypadła zupełnie dobrze. Zasługa w tem również doskonałego zespołu, na który składali się pp.: Junosza, Sosnowski, Grabowski i Zieliński. Również obiedwie role żeńskie, choć właściwie drugoplanowe, były jednak w dyskretnej wstrzemięźliwości wybornie do ogólnego tonu dostrojone przez p. Kozłowską (żona) i Dulębiankę (córka).

W tem doskonałem i umiejętnem przeprowadzeniu ogólnego tonu, w owej właśnie dyskrecyi gry, spoczywa trafność pojęcia i ujęcia Ibsena na scenie. Zalety te, skojarzone z doskonałą, aż do najdrobniejszych szczegółów obmyślaną wystawą, złożyły się na całość, godną poważnej sceny. *A. B.*

Teatr popularny przy Warsz. Tow. Robotn. Chrześcian.



„Trybun ludu", sztuka J. Bełcikowskiego, której główną postacią jest ks. Piotr Skarga, odegrany został siłami amatorskiemi, pod dyrekcyą p. Kotowskiego, w teatrze na ulicy Kaliksta. Tysiączny tłum z zaciekawieniem śledził dzieje, rozsnute w szeregu obrazów barwnych i dostrojonych do widowiska popularnego.

Morderstwo w parku teresińskim.

Do ciemnej i tajemniczej sprawy morderstwa ks. Lubeckiego żaden promień światła jeszcze nie przeniknął. Przeciwnie, sprawa ta skomplikowała się wtargnięciem do opieczętowanego pałacu teresińskiego tajemniczego, nocnego złodzieja, uzbrojonego we wszystkie zawodowe narzędzia włamywacza, a poszukującego przedewszystkiem — papierów w biurku zamordowanego księcia. I ten gość nocny, plądrujący w nieszczęsnym pałacu, pod bokiem trzech strażników i dwóch nocnych stróżów, jest nie do odszukania.

Słynny pies policyjny warszawski, „Mucha", obdarzony fenomenalnym węchem, sprowadzany raz po raz na miejsce przestępstw, biega ruchliwie na wsze strony, zdradzając wkońcu zupełną swą bezużyteczność.

Tymczasem aresztowano przyjaciela zamordowanego, p. Bispinga, ordynata massalańskiego. Rozwydrzona a bezkrytyczna opinia warszawska od samego początku wołała:

— On!... On!... któżby inny!...

Bez żadnych danych.

Ci, którzy znali p. Bispinga, energicznie temu przeczą. W pierwszej linii arystokratyczni członkowie warszawskiego Klubu Myśliwskiego.

Jeden z najwybitniejszych naszych arystokratów mówił nam:

— Któż może zaręczyć, że najlepszy człowiek, uniesiony gniewem, zaślepiony pasyą, nie posunie się nigdy do tak desperackiego aktu, jak zabójstwo! To też, choć jestem o niewinności Bispinga przekonany, nie dałbym głowy za to, iż nie był on zdolny do takiego czynu, jak palnięcie komuś w łeb z brauninga. Ale tego jestem pewny, że, gdyby takie uniesienie przyszło, takie nieszczęście spadło na tego człowieka, dowiedzielibyśmy się o tem przedewszystkiem — od niego samego. Bezpośrednio po takiem zabójstwie poszedłby on do naczelnika powiatu, do kancelaryi oberpolicmajstra, aby rzec: „Zabiłem, proszę mnie aresztować!"

Inny człowiek z najbliższego grona ordynata massalańskiego mówił nam:

— Strzelić!... zabić!... To było w dziedzinie możliwości nawet dla tak gorliwego katolika, jakim był Bisping! Ale rzucić się na obalonego kulą i broczącego krwią przeciwnika, choćby najbardziej nienawistnego, i tłuc go po głowie



Fot. Fuksa. Ordynat Jan bar. Bisping.

kantem brauninga ze zwierzęcem okrucieństwem!! Nie... Nie... W to uwierzę dopiero wtedy, gdy mi to w oczy, sam na sam, Bisping wyzna.

Ordynat massalański był, istotnie, wierzącym i nabożnym człowiekiem. Po śmierci pierwszej żony nosił się z zamiarem wstąpienia do klasztoru i gotów był ustąpić ordynacyę bratu. W tych zamiarach pojechał do Rzymu, gdzie spotkał się z młodą wdową po księciu Radziwile, również gotującą się do życia klasztornego. Te same ciosy, te same smutki, te same uczucia i te same dążenia doprowadziły dwoje tych ludzi — do nowej próby szczęścia...

Oto rys charakterystyczny: pewnego razu p. Bisping uległ wypadkowi automobilowemu; w tym wypadku oblany został benzyną, która się na nim zapaliła. Skończyło się to na poparzeniu.

Pytano potem go:

— Jakie miał wtedy wrażenia? O czem myślał?

— Począłem robić rachunek sumienia — odrzekł.

Do kroków stanowczych ten człowiek był jednak zdolny: Miał przed paru laty ulubioną sukę rasową. Pewnego razu zawołał ją. Suka nie przybiegła doń. Krzyknął na nią raz drugi i trzeci. Suka się nie poruszyła. Wtedy podszedł do niej i palnął jej w łeb.

Ordynat massalański ani w części nie był tak bogatym, jak ks. Lubecki. Dobra i domy tego ostatniego ocenione na osiem milionów rubli. P. Bisping nie miał, podobno, więcej dochodu rocznego nad 40 do 50 tysięcy rubli. Fortuną swoją kierował z pewną rzutkością, ale bez zbyt ścisłego ładu. Z ks. Lubeckim związany był wspólnemi przedsięwzięciami. Najwięcej mówią o wspólnej dostawie cementu do budujących się fortów. Ks. Lubecki cofnął się w ostatnich czasach z tej współki, zostawiając wspólnika w kłopotach i, podobno, dość ciężkiem położeniu kredytowem.

To wszystko „mówią" ci, którzy nie uważają za konieczne, ani nawet za właściwe przesądzać spraw przez sam wątpliwy dar jasnowidzenia w ciemnościach... *D.*

„Warszawska kooperatywa drzewna". *Fot. „Świt..."*



Dnia 4-go maja r. b. odbył się akt poświęcenia lokalu i składów nowozorganizowanej spółki pod nazwą: „Warszawska Kooperatywa Drzewna". Aktu poświęcenia lokalu dokonał ksiądz Puchalski, proboszcz parafii ś-go Stanisława na Woli wobec licznie zebranych udziałowców i osób zaproszonych. Zarząd kooperatywy stanowią pp.: Baum August, prezes, Jaszczołt Adam, skarbnik, i Barszczewski Jan, oraz, jako zastępcy pp.: Skrzędziewski Feliks, sekretarz, i Daab Maksymilian. Komisyę rewizyjną tworzą pp.: Horn Maksymilian, Martens Maksymilian i Kreczmar Henryk.



WŁADYSŁAW GRABSKI, historyk i rol. poseł do 3-ch Dumy, prezes sekcyi społecznej Tow. Pracy Społ., miał odczyt o wprowadzeniu powszechnego nauczania u nas na zasadzie nowych praw.

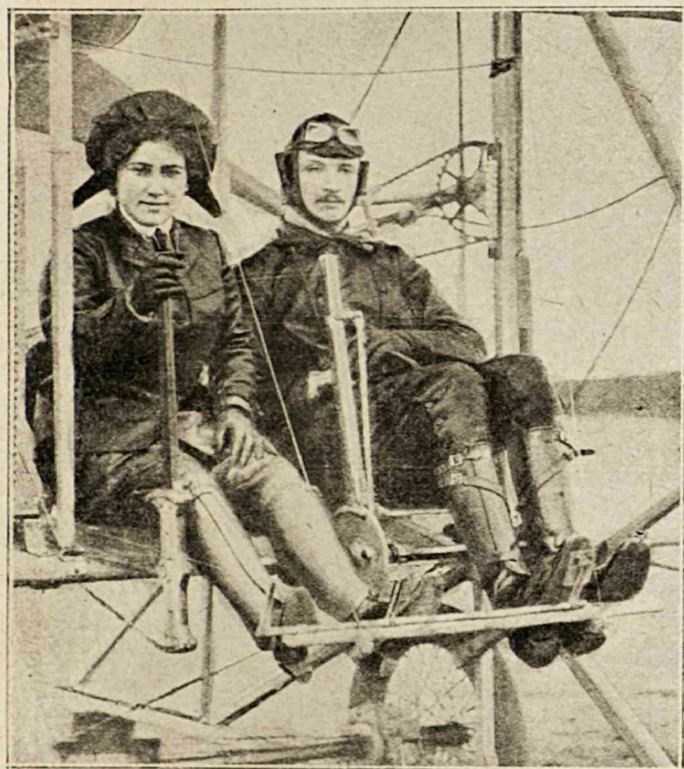


LUDWIK SOLSKI, znakomity artysta dramatyczny, dyrektor i kierownik teatru krakowskiego, od jesieni objąć ma ster artystyczny dramatu w teatrach rządowych warszawskich.



Szef sztabu gener. austr., v. HOETZENDORF, należy do najbardziej zajętych ludzi w tej chwili. Organizuje wyprawę wojenną na Skodar przez górę Łowczen. Zdobycie nieprzystępnej tej góry obliczono na 5 tygodni.

Katastrofa lotnicza.



Głośna lotniczka, księżna Szachowskaja i lotnik Abramowicz. Przed niedawnem czasem oboje lotnicy spadli z dość znacznej wysokości na polu lotniczem Johannisthal pod Berlinem, przyczem Abramowicz, odniosłszy ciężkie porażenia, zmarł niebawem, księżna wyszła z wypadku, poniosłszy mniejsze tylko obrażenia.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY POLITYCZNE.

Najważniejszy fakt tygodnia: Essad ogłosił się królem albańskim po porozumieniu z królem Mikołajem, któremu wydał Skodar dla dokonania tej swojej kombinacyi.

Turcya niezadowolona z Essada. Nie chce jego kombinacyi: Albanii wasalnej z Essadem na tronie. Nakazuje mu odesłać wojska do Turcyi.

Ambaras dyplomacyi europejskiej dosięgnął szczytu. Zwleka ona swoim zwyczajem.

Austrya ogłosiła stan wojenny w Bośni i Hercegowinie. Sztab opracował walkę z czarnogórcami.

Rosya doradza Czarnogórzu posłuszeństwo dla londyńskiej konferencyi ambasadorskiej. Wrazie posłuszeństwa, podtrzyma króla Mikołaja w dążeniach do odszkodowania.

Czarnogórze ustępuje. Król Mikołaj oświadczył, że gotów jest, pod pewnemi warunkami oddać Skudar. Czy warunki przyjmie Austrya?

Z NAD NEWY.

Sniesarew ogłasza, że Suworinowie brali częste i wysokie opłaty za różne artykuły w „Nowoje Wremia".

O dymisyi niedalekiej ministra oświaty, Kasso, mówią głośno.

Nagrodzenie Wittego wysokim orderem zwróciło nań powszechną uwagę. Mówią, że ma być ministrem spraw zagranicznych.

SPRAWY SPOŁECZNE.

„Włókno", pierwsza warszawska polska hurtownia towarów włóknistych, powstała z kapitałem 600.000 rb.

Pierwsze kasy chorych, za przykładem firmy Orgelbrandów, powstały w Warszawie, korzystając z nowego prawa.

Wystawę Mody postanowiono urządzić w Warszawie jeszcze tej jesieni.

Zjazd kobiet polskich w sprawach wychowawczych zacznie się w Krakowie 10-go b. m.

NASZE SPRAWY.

Sesya sejmu galicyjskiego została zamknięta.

O nauczaniu powszechnem wedle nowego prawa miał odczyt p. Władysław Grabski w Warszawie. Najdalej ta sprawa posunięta jest w gubernii płockiej.

Do rady miejskiej w Chicago polacy przeprowadzili po raz pierwszy swego kandydata, p. Stanisława Kunza. Dwu innym polskim kandydatom brakło ledwie po kilkanaście głosów.

Wielki skandal: wykryto szpiegów w samym zarządzie Komisyi stronnictw niepodległościowych. Ci mieli listę osób z Królestwa, wciągniętych do tej akcyi.

LITERATURA I SZTUKA.

Na dorocznem uroczystem posiedzeniu Akademii Krakowskiej prof. Balzer odczytał pracę o „Unii Horodelskiej".

Nagrodzonymi zostali w tym roku przez Akademię Krakowską: Kleiner, Wiess, Biegański, Olszewski, Rostafiński, Kolankowski, Zaremba i Sierpiński.

50-io lecie pracy literackiej Stanisława Tarnowskiego przypada w tym roku.

Obchód jubileuszu 45-cio letniej pracy naukowej prof. Tretiaka odbył się w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego.

12-te wydanie „Gasnącego Słońca", znanej powieści Jeske-Choińskiego, wyszło po niemiecku.

Katedrę uniwersytecką do nauki o dobroczynności założono w Chicago. Nowość zupełna.

Komitet międzynarodowy artystyczno-literacki w Paryżu powołał do swego grona malarza polskiego, Józefa Męcinę Krzesza.

Birnbaum dyrygował w Paryżu orkiestrą, złożoną z 600 osób. Grano Beethovena. Powodzenie miał owacyjne.

Lekarze polscy, zaproszeni na zjazd w Gandawie, pragną utworzenia sekcyi polskiej osobnej, jak to było na zjeździe amsterdamskim.

Politycy galicyjscy w karykaturach Sichulskiego.



L. German, wice-prezes Koła. W. Kozłowski, szef podol. Stapiński. Witold Korytowski. Adolf Gros, poseł krakowski.



Humor i Satyra.

Z ubiegłego miesiąca.

Prima Aprilis, kwietniowy dzień,
Jak co rok, stanął u startu;
Człek pragnął dowieść wśród różnych łżeń,
Że kłamie tylko dla żartu.
Niejeden figlarz, z tej mody rad,
Urządzał bliźnim kawały—
Poco dzień kłamstwa, gdy cały świat
Łże przez okrągły rok cały!

Kłamie polityk i stanu mąż,
Kłamie poeta natchniony;
Kłamie szewc, bankier kłamie też wciąż,
Kłamią mężowie i żony.
Każdy się z kłamstwem codziennem zrósł,
Świat tonie w kłamstwa nawale,
Gdyby nie ono, ludzkości wóz
Z miejsca nie ruszyłby wcale.

A tak się rusza przez świata ląd,
Choć wyboistym mknie torem,
Kłamstwo jest przeto—widzimy stąd—
Dość ważnym życia motorem.
Więc nie wnikajmy zbyt w rzeczy treść,
Precz narzekania i płacze!
Nie mają bowiem często co jeść
Skier prawdy poszukiwacze.—

W bałkańskim kotle ogień wciąż wre,
Bigos światowy się warzy,
I nie panowie nim karmią się,
Lecz czterech sprytnych kucharzy.
Austrya bardzo pragnie tam wleźć,
Bo pełna nęci ją misa,
Ale jej ciągle — pal że to sześć! —
Łyżka w powietrzu zawisa.

Śmieje się w kułak Nikita król,
Po przelewaniu krwi szczodrem,
Austryi możnej wstyd, srom i ból
Sprawił kawałem ze Skodrem.
Austrya klnie się, że pójdzie w bój,
Bo cierpieć dłużej nie w stanie,
Ale, pomimo not groźnych zwój,
Znów pewnie finfę dostanie.

Myśmy dostali z nad newskich fal
Też finfę teraz nielada:
Samorząd odszedł hen, w mglistą dal
I w chmurach gdzieś tam przepada.
Miał to być dla nas dziś „złoty róg"
Po wydzielonej Chełmszczyźnie,
Lecz trzeba stwierdzić, że i nasz wnuk
Smaku z onego nie liźnie.

Zato pansłowian nad Newą ród,
Pijąc od czasu do czasu,
Że Adryanopol zdobyty gród,
Narobił wiele hałasu.
„Hurra!"—grzmiał ciągle do straty tchu
Bobrynskij, ulów tych pszczelnik,
Aż musiał gębę zamykać mu
Nadnewski gradonaczelnik.

Bułgarya, którą niewiele wprzód
Znano z czytania i z książki,
Tak sławna, że dziś szczytem są mód
Bułgarskie barwy w wstążki.
Gdy dalej będzie ten rozgłos szedł,
To jest dość pewna speranda,
Że wdzięku szczytem stanie się wnet
Sążnisty nos Ferdynanda.

Świeżych sensacyi u nas wciąż łów,
Nie brak drażliwych tematów:
Hrabia Ronikier powrócił znów
Do pawiakowych penatów.
Ledwieśmy ową strawili wieść,
Nie upłynęło tygodnia,
Nową sensacyę możemy jeść:
Jest Teresińska nią zbrodnia.
Morderstwo księcia zrobiło szum,
Wsie poruszyło i miasta,
Gazety chciwie chwyta dziś tłum
I czytelnictwo stąd wzrasta.
Gdy los nam będzie wciąż taki żer
Dodawał do życia wetów,
To wkrótce pośród najniższych sfer
Nie będzie analfabetów.

Z życia prowincyi.

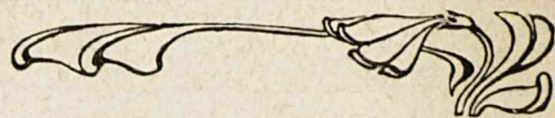
Bezgraniczna nędza, jaką spowodowało przymusowe bezrobocie, dała pochop ludziom dobrej woli do utworzenia w Towarzystwie Rawskiem komitetu obywatelskiego „dla głodnych", który by niósł pierwszą pomoc doraźną potrzebującym. Na czele komitetu stanął, nie szczędząc trudów i czasu, dr. Stanisław Narewski. Przedtem jeszcze, znana Tomaszowska opiekunka wdów i sierot, wzór prawdziwej chrześcianki, p. Zofia Pieschowa, wydziela od siebie każdodziennie aż do utworzenia komitetu po 120 obiadów dla głodnych.



Zofia Pieschowa.



Dr. Stan. Narewski.



P. Roman Rogala-Zawadzki,

syn ś. p. Bronisława, znanego i zasłużonego publicysty, otrzymał na wszechnicy lwowskiej, po zdaniu egzaminu, stopień doktora wszechnauk lekarskich. Dodać też należy, że p. Zawadzki jest pozatem skończonym i pełnym talentu wirtuozem, uczniem Friedmana.



R. Rogala-Zawadzki.